



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W Ks Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

### KRÓTKI RZUT OKA

na stowarzyszenia rzemieślnicze

„Gwiazda“ i „Skala“ we Lwowie.

Wśród prawdziwej powodzi wszelkiego rodzaju towarzystw i stowarzyszeń, mniej lub więcej użytecznych, jaka zalewa Galicyę, a zwłaszcza Lwów, stowarzyszenia rzemieślnicze *Gwiazda* i *Skala* odznaczają się swoją doniosłością i wpływem na całą niższą warstwę naszego społeczeństwa. Wprawdzie pomiędzy sposobem działania, pomiędzy korzyścią, jaką przynoszą obydwie te stowarzyszenia, znaczna zachodzi różnica; ale tak jedno jak drugie ma swoje wielkie i niezaprzeczone zasługi, których nikt im nie potrafi odebrać.

Nie tak bardzo dawne jeszcze temu czasy, kiedy stan klasy rzemieślniczej był prawdziwie oplakany. Nędza moralna, z nieodstępną towarzyszką, nędzą materialną, rozpościerały szeroko swoje panowanie. Biedny czeladnik nigdzie nie mógł znaleźć pociechy, wsparcia lub rady. Cechy, zamiast pomocy, gnębiły, zacierały i przytłumiały na swoją korzyść, wszelkie indywidualne usiłowania. Niema się zresztą czemu dziwić. Średniowieczna ta instytucja nie w innym celu wytworzona została, jeno w tym, żeby zabezpieczyć przywileje majstrów, którzy o czeladnikach swoich myśleli jedynie tyle, ile potrzeba było, aby ich w jaknajdłuższej zależności od siebie zatrzymać i nie dać im nic na własną rękę przedsięwziąć.

Taki stan rzeczy oddawna zwracał uwagę ludzi prawdziwie kraj swój kochających. Rozumieli oni całą doniosłość, jaką mieć może oświata i podniesienie dobrobytu klasy pracującej fizycznie,

i starali się wynaleźć jaki środek na zaradzenie złemu.

Do rzędu najgorliwiej i najdawniej pracujących na tem polu należał bezzaprzeczenia człowiek pełen gorącej miłości swojej ziemi, teraźniejszy prezes stowarzyszenia rzemieślniczego *Gwiazda*, pan Mieczysław Darowski. Jest to jedna z tych oryginalnych, niezwykłych postaci, coraz rzadziej widywanych w naszych czasach: człowieka z prawdziwą namietnością, nieledwie do manii posuniętą, służenia ojczyźnie i rodakom. Piękna to mania, a coraz rzadziej daje się w życiu spotykać. Dlatego też o Darowskim wspomnieć wypada tu kilku słowami, należącemu mu się tem słuszniej, że zawsze przeważny wpływ wywierał na stowarzyszenie, o którym mamy mówić obszerniej. On-to nawet w najznaczniejszej części, wraz z kilku innymi dbałyymi o dobro ogółu ludzi, przyczynił się do założenia pożytecznej wielce instytucji.

Mieczysław Darowski urodził się d. 25 Marca 1810 r. w Sanockim, we wsi Jurowce. Ojcem jego był Alexan. Werycha Darowski, matką — Wiktorya z Rylskich. Mieczysław wychowuje się w Krakowskim, a w samym Krakowie kończy nauki i uczy się na wszechnicę. Po ukończeniu wydziału prawnego uczestniczy w wielkich wypadkach dziejowych. W tym samym czasie poznaje się i w bardzo bliskie stosunki wchodzi z Klaudyą Potocką, dla której głęboki szacunek i uwielbienie, powzięte wówczas, przechował w głębi serca, równie gorące, do chwili obecnej. Na jej-to cześć nawet później najstarszej córce swojej dał imię Klaudyi. Po powrocie do domu, wystawiony na prześladowanie skutkiem swego sposobu myślenia, przecierpiawszy wiele, osiedla się na wsi we własnej majątności pod Sanokiem. Po ożenieniu się i zagospodarowaniu, cały czas, pracę i usiłowania poświęca na zakładanie szkółek ludowych, oświeca i włościł i podnoszenie ich dobrobytu. Praca ta jednak bolesne miała zakończenie. W roku Czterdziestym Szóstym napadnięty na drodze,

w chwili, kiedy powracał z podróży do domu, przez rozszalałych chłopów, tak strasznie został porąbanym, że z trudnością zaledwie zdolano go do życia przywrócić. Do dnia dzisiejszego głębokie szramy pozostały na czole, jako niezatarte świadectwo smutnego wypadku. Jedyną pociechą po zebraniu tak gorzkiego plonu z pocciwych zasiewów starał się Darowski czerpać w myśli, że sprawcami tego nikczemnego napadu byli wieśniacy, nie z jego wsi, nie ci, którzy mu niejedno dobrodziejstwo zawdzięczał, i dla których z takim zapalem pracował, lecz obcy, zupełnie mu nieznani. Za krzywdę doznana, nowe spada na niego przesładowanie: traci wolność i po pięciu miesiącach dopiero, za niewinnego uznany, na wies powraca. Wszystko to razem wzięte, tak przykro go dotknęło i nazawsze zniechęciło do dalszej pracy w zawodzie rolnika, że przeniósł się na stały pobyt do Lwowa. Poprzednio jednak zamienił wies na kamienicę, którą w rok później, jakby na dowód, że kogo raz nieszczęście zacznie przesładować, tego nie tak łatwo wypuszcza ze swojej opieki, w czasie bombardowania Lwowa zburzono ze szczeniem.

Ostatni ten cios stał się powodem całkowitej już prawie ruiny majątkowej i przez to samo zmusił Darowskiego do szukania jakiejś pracy, któraby mu, oprócz zapewnienia dostatecznego utrzymania, pozwoliła wychować starannie kilkoro dzieci. Zajęcie takie znalazł wreszcie przy Towarzystwie Assekuracji Ogniowej. Od tej pory, zapomniawszy zupełnie o dawnych klęskach, nieszczęściach i smutnem doświadczeniu, całą duszą oddał się pracy dla dobra publicznego; są bowiem ludzie, którym poczucie obowiązku i gorąca miłość swojej ziemi nie pozwalają pamiętać o własnym interesie. Szczęśliwszy jednak od wielu innych poświęconych pracownikom na tej niwie, których niechęć i zawiść ludzka zabija, znalazł nagrodę swoich usiłowań w ogólnym szacunku i zaufaniu. Nie było, zacząwszy od tamtego czasu,

aż do dni naszych, towarzystwa, któreby zawiązując się, nie chciało go mieć za swego członka. W roku 1848 dotknęła go znowu ręka krzywdzącej sprawiedliwości. Odzyskawszy swobodę, z podwójnym zapalem zabrał się do swojej pracy. Wprawdzie teraz już nie miał wieśniaków pod ręką, ale i tak nie zbrakło mu pola do użytecznej działalności. Cała uwaga jego zwróciła się na klasę rzemieślniczą, pogrążoną w grubej ciemności umysłowej, w nędzy materialnej, zupełnie zaniedbaną pod względem moralności, i wszystkie wolne chwile przepędzającą po szynkach, na pijatyce i zgrywaniu się w karty. Chcąc choć w części zaradzić złemu, zaczął zbierać młodą czeladź rzemieślniczą po przedmieściach i urządzał dla niej odczyty i nauki.

Było to bardzo małą rzeczą w porównaniu z potrzebami tych biednych ludzi. Bo też Mieczysław Darowski, robiąc, co było można w chwili bieżącej, nosił się zawsze z myślą utworzenia czasem jakiejś instytucji, któraby, oprócz szerzenia oświaty wśród tych nieszczęśliwych, upośledzonych, zapewniała im choć niewielką pomoc materialną. W marzeniach swoich widział ciągle taką *Gwiazdę*, na jaką dziś się wszyscy patrzymy. Długo jednak lata upłynąć miały, zanim to marzenie stało się rzeczywistością.

Na drodze pocziwych usiłowań uprzedził go nawet człowiek w innej zupełnie sferze żyjący i po większej części rządzący się zupełnie innymi przekonaniem. Człowiekiem tym był ksiądz Zygmunt Kajetan Odelgiewicz, który lat dwadzieścia pięć temu, to jest w 1856 roku, założył Towarzystwo rzemieślnicze *Skala*, na cokolwiek podobnych zasadach oparte, jak to, do którego dążył p. Darowski. Mówimy „na cokolwiek podobnych“, gdyż główna zasada, skazująca zresztą w samym zarodku młode stowarzyszenie na brak sił żywotnych i niemożność rozszerzenia się w przyszłości, zasada ograniczająca uczestnictwo do samych tylko czeladników obrządku katolickiego, stanowi ogromną, podstawową pomiędzy obu instytucjami różnicę. Ksiądz Odelgiewicz ze swojego stanowiska katolickiego nie chciał zapewne, czy też może nawet nie mógł, założyć innego stowarzyszenia. Ta niemożność wszakże, połączona z innymi jeszcze znacznymi wadami instytucji, które przy porównaniu statutów obydwóch towarzystw będziemy się starali wykazać, stała się powodem, że stowarzyszenie, tak niezbędne i tak na czasie założone, zamiast rozszerzać się i wzrastać, węgietowało tylko i węgietuje dzisiaj, zewnątrz jedynie usiłowaniem i wsparciem materialnym podtrzymywane. Taki los *Skaty* nie uszczupla bynajmniej zasług zacnego kapłana, który, widząc tylu ludzi żyjących zdania nadziei bez zabezpieczonego jutra, pogrążonych w najstraszniejszej ciemności umysłowej, starał się polepszyć ten stan ich nędzny, jak mógł i umiał.

Wielu też gorliwych obywateli, a pomiędzy temi głównie p. Mieczysław Darowski, i dzisiejszy poseł miasta Lwowa, p. Tadeusz Romanowicz, widząc, że stowarzyszenie księdza Odelgiewicza nie jest w możności zaradzenia najważniejszym potrzebom czeladzi rzemieślniczej, czyniło dalej usilne starania, ażeby zorganizować instytucję odpowiadającą wszelkim wymaganiom. Najpierw tedy trzeba było zrobić takie towarzystwo bezwyjątkowym, przystępnym dla wszystkich rzemieślników polskich, bez względu na wiarę, jaką wyznają. Drugim z najważniejszych błędów w istniejącym już towarzystwie był brak pomocy finansowej. Dla biednego czeladnika, niemającego żadnych stałych środków utrzymania, oprócz zapłaty dniowej, każda choroba, bezrobocie, albo bezsilna starość, groziła najstraszniejszą nędzą, a nawet wprost: śmiercią głodową; czasami zaś skazywała go na los jeszcze boleśniejszy: żebraczego wyciągania ręki po jałmużnę. Majster bowiem, u którego dawniej taki czeladnik pracował, nie mając do tego żadnego obowiązku, mało bardzo a najczęściej wcale nie troszczył się o biednego inwalida. Całe życie, spędzone najuczciwiej i najpracowiciej, nie zabezpieczało ani emerytury, ani jakiegokolwiek na starość zapomogi, któraby sumiennemu pracownikowi pozwoliła choć kilka dni przed śmiercią wypocząć; po śmierci zaś żona i małe dzieci znajdowały się na bruku,

bez przytułku i schronienia, a najczęściej i samemu zmarłemu, nie było za co, choćby najędźniejszego, sprawić pogrzebu.

I jak tu nawet było zmienić taki stan rzeczy, wynikający z samego układu społeczeństwa, bez naruszenia go w samych posadach! Jednakże dobra i silna wola znalazła na to radę, bez wyrządzenia komukolwiek najmniejszej krzywdy. Radą tą było założenie stowarzyszenia wzajemnej pomocy rękodzielników, które małymi bardzo na pozór środkami miało znakomite oddać tej klasie usługi.

W roku 1868, po przewyciężeniu tysiącznych trudności, powstało nareszcie stowarzyszenie takie, pod nazwą *Gwiazda*, poświęcone rozrywkom i nauce członków, a zarazem drugie „Stowarzyszenie wzajemnej pomocy rękodzielników miasta Lwowa“, stanowiące nierozdzielny całość z poprzednim i mające się zajmować pomocą pieniężną i zapewnianiem losu swoim członkom. Ułożenia statutów podjął się p. Tadeusz Romanowicz; zatwierdziło je namiestnictwo we Lwowie — i instytucja weszła w życie.

Pierwszy zaraz paragraf, określający cel stowarzyszenia, olbrzymio różni się od paragrafu, w którym stowarzyszenie *Skala* cel swojego istnienia wyraża.

„Celem stowarzyszenia — opiewa statut *Gwiazdy* — jest ułatwienie kształcenia się w pożytecznych wiadomościach, tudzież wspólna rozrywka“.

Statut zaś dopełniającego „Stowarzyszenia rękodzielników“, którego istnienie, choć ono jedną z *Gwiazdą* całość stanowi, osobnymi jednakże statutami, (nie możemy zrozumieć: dlaczego?) obwarowano, dodaje:

„Celem stowarzyszenia jest wzajemna pomoc dla jego członków, a to przez:

- a) zachęcanie do oszczędności,
- b) udzielanie oprocentowanych zaliczek zwrotnych,
- c) udzielanie zapomóg w razach nadzwyczajnej potrzeby,
- d) ponoszenie kosztów choroby i pogrzebu samego stowarzyszonego lub pogrzebu jego żony, oile był członkiem rzeczywistym,
- e) wspieranie inwalidów, jako też wdów i sierot po członkach rzeczywistych stowarzyszenia“.

Jak widzimy, w ustępie tym są zawarte wszystkie najgłówniejsze potrzeby ubogiego rzemieślnika; każdy postępujący uczciwie, mógł bez żadnych trudności zapisać się do towarzystwa. Wydział *Gwiazdy* każdego postępującego się nienagannie czeladnika bez żadnych ograniczeń przyjmuje na członka rzeczywistego, w drodze „balotu“ to jest, jeśli większość członków wydziału zarządzającego stowarzyszeniem, nie ma nic przeciwko niemu. Taki więc członek rzeczywisty po zapłaconiu wkładki wstępnej staje się od razu z istoty wydziedziczonej, prawdziwego dotychczas Paryi społeczeństwa, człowiekiem śmiało, odważnie i z otuchą spoglądającym w przyszłość. Wkładka wstępna wynosi co najmniej 50 centów na rzecz *Gwiazdy*, a 1 floren, który składa się od razu, lub uiszcza w czterech równych ratach, dla „Wzajemnej pomocy“. Oprócz tego każdy postępujący do towarzystwa musi się zobowiązać do placenia tygodniowo albo miesięcznie takiej wkładki, jaką co rok Walne Zgromadzenie uchwala. Wkładka tygodniowa bywa wprawdzie co rok zmieniana, w miarę zwiększających się lub zmniejszających potrzeb towarzystwa; mniej więcej jednak wynosi 26 centów, które w następujący sposób bywają rozkładane: — Na osobiste oszczędności każdego członka, które pozostają jego własnością i mogą być zawsze za dwutygodniowym wypowiedzeniem wyjęte, z pozostawieniem jednak udziału w kwocie 7 zlr., odkłada się 5 centów; 6 centów na fundusz wdów i sierot; 16 centów na fundusz szpitalny i pogrzeb stowarzyszonego i jego żony, a 5 centów na *Gwiazdę*, gdzie znów każdy członek ma możność korzystania z biblioteki, dzienników i wszelkich innych użytecznych i przyjemnych rozrywek, o których jeszcze później pomówimy.

Za tak więc małą stosunkowo opłatę każdy warzyszony wzamian zyskuje: — Najpierw, wraz bezrobocia lub innej gwałtownej potrzeby, na bardzo niski procent pożyczkę, którą następnie może

spłacać według układu bardzo małymi ratami; powtóre, wraz choroby lub jakiegokolwiek wypadku, może nawet otrzymać bezzwrotną zapomogę; następnie ma zapewniony fundusz na kosztą swojej choroby, a wrazie śmierci opłacony pogrzeb własny i żony; naostatek, w czasie niedołężnej starości wypłacają mu pewną, wprawdzie niewielką, ale dla biednego człowieka bez żadnych funduszków, zawsze prawdziwe dobrodziejstwo stanowiącą, emeryturkę, do samej śmierci. Teraz zresztą, na zbliżanie się tej śmierci, może on spokojniejszym okiem spoglądać, wiedząc dobrze, iż kiedy go już zbraknie na ziemi, żona jego i dzieci będą otrzymywać pomoc z funduszu zapomogowego dla wdów i sierot.

W statucie *Skaty* odpowiadający powyższemu paragraf, który obznajamia nas z celem, w jakim stowarzyszenie zawiązano, brzmi jak następuje:

„Celem stowarzyszenia jest kształcenie *katolickich* czeladników we Lwowie — przez podniecanie i pielęgnowanie silnego religijnego i towarzyskiego ducha i życia — na dobrych i pocziwych rzemieślników“.

I więcej nic. A trzeba przyznać, że to bardzo mało w porównaniu z potrzebami tych wszystkich ludzi, którzy składają stowarzyszenie. Wprawdzie, oprócz nauki rysunków, czytania, pisania, rachunków i śpiewu, stanowiącej najgłówniejszą rzeczowistą korzyść, jaką odnoszą członkowie, są jeszcze i małe korzyści materialne, jak na przykład: „kassa dla chorych“. Z kassy tej, zawierającej zaledwie po stokilkadziesiąt, a niekiedy i wiele mniej, reńskich rocznie, najwięcej potrzebujący na leczenie się bardzo tylko małe zapomogi otrzymywać mogą. Drugą materialną pomocą są przez prezesa stowarzyszenia, księdza Odelgiewicza, urządzone raz na rok loterye, w których kilkanaście losów wygrywających stanowi nie małą zachętę dla biednych rzemieślników. Do ciągnięcia przypuszczani bywają ci, którzy w ubiegłym roku najlepiej się prowadzili: stanowi to więc pewnego rodzaju nagrodę.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## MIŁOŚĆ CZY RACHUBA ?

NOWELLA

przez

El - e m.

(Dalszy ciąg).

Wkrótce na progu pokoju ukazała się młoda, pięknej postawy kobieta. Zpod szarego kastrorowego kapelusza sphywał cały las ciemnych loków, przy których doskonale odbijała biała i delikatna płeć twarzy. Skromna, szara sukienka dokładnie uwydatniała zgrabne jej kształty. Stała się we drzwiach, nie śmiając dalej postąpić; nadobna jej postać tak efektywnie zarysowała się na aksamitnej, fioletowej portierze, że Janinę uderzyło to tak niespodziane zjawisko. Pośpieszyła do niej z przyjaźnią wyciągniętą dłonią i wyraźnym odcieniem sympatyj w głosie:

— Kto pani jesteś? — zapytała.

— Gabryela — przychodzi w imieniu p. Konrada — odezwała się głosem pewnym, a był to głos silny i dźwięczny jak arfa, wpadający w ucho tak mile, że słuchać-by go można przez całe godziny.

— Pani od p. Konrada? — zapytała zdziwiona Janina, prowadząc ją na środek salonu i wskazując miejsce przy stoliku.

— Niech to pani nie dziwi: zaraz wszystko objaśnię. Pan Konrad zmuszony był wczoraj, i to nagle, wyjechać. Zdaje mi się, że musiało zajść coś bardzo ważnego, gdyż i brat mój oderwał się od służby i pojechał z nim razem.

— I gdzie pojechali ci panowie?

— Nie wiem; taili to przedemną. Pan Konrad, nie mogąc nikomu innemu powierzyć pewnych

ważnych papierów, prosił mnie o oddanie ich do rąk własnych pani.

To mówiąc, dobyła z kieszeni paczkę papierów, które Janina machinalnie wzięła do ręki.

— To widocznie państwo znacie się bardzo dobrze, skoro p. Konrad powierza pani tak poufne misye....

— Bardzo dobrze i bardzo dawno. Byłam małą dziewczynką, gdy pan Konrad począł bywać w domu moich rodziców, w Filadelfii. Nie wiesz pani zapewne, że rodzice moi mieli niegdyś majątek w Krakowskim. W ciężkiej dobie życia stracili odrazu wszystko i zmuszeni byli za oceanem szukać dla siebie spokoju i kawałka chleba. Przebyliśmy ciężkie bardzo chwile.... lecz to już przeszło.

— W jakim-że celu powróciliście do kraju?— przerwała Janina, coraz bardziej zaciekawiana.

— Rodzice umarli kilka lat temu: pozostałam sama jedna z bratem. Pan Konrad namówił nas do wyjazdu i zabrał z sobą. Ciekawi byliśmy poznać rodzinne gniazdo, roiliśmy plany, że odkupiemy je kiedyś; więc ochoczo wybraliśmy się w strony, do których ciągle i ciągle wyrwała się dusza pana Konrada. Bezustannie tylko myślałam, pamięcią, wspomnieniem przenosiłam się do miejsc tych dalekich i śpieszył się, tak jakgdyby go wielki a pilny gnał tu interes....

— Wszak p. Konrad przyjechał tu w interesie towarzystwa górniczego? — przerwała Janina, zdziwiona i zaniepokojona.

— Jakiego towarzystwa?

— Pierwszego amerykańskiego towarzystwa górniczego, mającego siedlisko w Filadelfii.

— Ja o tem nic nie wiem i wątpię, by tak było, gdyż p. Konrad, jak to pani zapewne wiadomo, jest posiadaczem tak wielkiego majątku, iż nie ma potrzeby pozostawać na usługach żadnego towarzystwa.

— Co pani mówi? — zawołała przerażona Janina, — lecz owe kopalnie węgla, w moim majątku! kto z nich użytkuje?

— Czy pani tego nie wie? — zapytała spokojnie Gabryela.

Janina zmieszała się nieco, lecz wkrótce w umyśle jej zrobiło się tak jasno, jakgdyby po długiej ciemności nagle przed oczyma jej zabłysła luna.

— Ależ wiem! — wyrzekła cicho, z wymuszonym uśmiechem.

Wstała z krzesła i poczęła przechodzić się po pokoju, aby ukryć oburzenie, jakie nią miotало, wskutek tego odkrycia.

— Kopalnie te — mówiła dalej Gabryela — zawiody oczekiwania, jakie w nich pokładano. Oile wiem, to podobno podziśdzeń robią się tylko poszukiwania; węgla dobywa się niewiele.

— To było rzeczą wiadomą — wtrąciła gorączkowo Janina, ciągle przechadzając się — uprzedzaliśmy o tem p. Konrada wszyscy; lecz on pragnie przekonać niedowiarków, że węgla jest u nas sporo. Sprzykrzy mu się może wkrótce ta kosztowna zabawka; rzuci to wszystko, ożeni się, a kto wie, może i w tym celu tak nagle wyjechał....

— Ożeni się p. Konrad? i wyjechałby w tym celu? — przerwała żywo Gabryela, wstrząsając puklami swych loków, a ciemno-szafirowe oczy nabrały dziwnego blasku i ognia. To być nie może. On-by mnie o tem powiedział, uprzedził....

— Tak?... Lecz dlaczegóżby to pan Konrad zwracał się do pani, z tego rodzaju zwierzeniem? — zapytała nieco gniewnie Janina, stanąwszy przed Gabryelą.

— Bo ja kocham p. Konrada — odrzekła śmiało i szczerze.

Janina, przerażona temi słowami, chciała usiąść, lecz padła prawie na krzesło.

— Bo ja go kocham — powtórzyła dobitnie — i on wie o tem, że kocham go całą potęgą młodej i uczciwej kobiety. Kocham szczerze i otwarcie, bez żadnych subtelných odcieni, bez analizy tego uczucia. Kocham go za jego umysł jasny, za serce prawe, za wolę silną, za miłość dla ojczystych pól i lasów. Kocham go, bo jemu zawdzięczam wszystko. Kocham i nigdy kochać nie przestanę....

Słów tych potok spadł na Janinę, jak grom niespodziany. Przeraziła ją one, jakby zwiastuny nieszczęścia, dźwięk ich wydawał się dale-

kim odgłosem żalobnego dzwonu. Straciła zwykłą swobodę i panowanie nad sobą, tak, że z trudnością zaledwie wstrzymywała się, by nie wybuchnąć płaczem, rozpaczą, czy gniewem. Dzika i straszna burza najrozmaitszych uczuć i namiętności musiała szaleć w jej sercu, ugodzonym tak nagłe i tak dotkliwie. Oparła twarz na rękę i długo rozważała w myśli tę niespodzianą i tak stanowczą scenę, jaka rozegrała się przed chwilą.

Nareszcie odezwała się wolno, siląc się na uśmiech:

— To bardzo dobrze, gdy kto potrafi tak szczerze kochać.... Lecz co p. Konrad był łaskaw przesłać mi przez panią?

— Tu jest przedłużenie dzierżawy Kijan na lat pięć — odrzekła Gabryela, biorąc papiery ze stolika, — następnie akt jakiś, w przedmiocie kopalni i list zapieczętowany, który oddać mam pani dopiero za tydzień, gdyby p. Konrad do tej pory nie wrócił.

— Jakaś tajemnica? — przestraszasz mnie pani.

— Jest tajemnicą i dla mnie.

— Postaram się rozpatrzyć te papiery; albo raczej ty je przejrzysz, mój kuzynie — rzekła do wchodzącego Alfreda.

— W każdej chwili; kuzyneczko — czegóż ja-bym dla ciebie nie zrobił!...

— Więc podaj mi ramię: przejdę się trochę po pokoju; głowa boli mnie bardzo.

Gabryela wstała też z krzesła, wyciągnęła do Janiny rękę, jak do starej znajomej, i, skłoniwszy lekko głowę, wyszła szybko z pokoju.

— Kto to jest, kuzynko? U ciebie zawsze spotkać można niezwykłych gości.

— Kto to jest? pytasz: ja sama nie wiem dobrze — odrzekła zamysłona — lecz zdaje mi się, że to będzie jedna z aktorek dramatu, który się nazywa życiem. Już teraz wiesz wszystko — do dała z małym ożywieniem.

— Nie wiem, lecz, jeżeli ci z tem wygodnie, więc niech i tak będzie! — odparł, uśmiechając się i całując ją w rękę.

## V.

Wiekami całym, wiekami niepokoju i obaw największych, wydał się Janinie tydzień nieobecności Konrada. Przeczuciwała zbliżającą się katastrofę, gdy nagle na mieście rozeszła się wieść o jego pojedynku ze Skarozsem. Postać ta, dawno zamarłą w jej pamięci, dziś odżyła tylko po to, by stać się przyczyną wielkich przykrości, jakich złośliwa opinia ludzka Janinie wyrządzać nie przestała. Przykre te wrażenia ustępowały miejsca innym, silniejszym, które opanowały całym jej umysłem i sercem. Zazdrość była ostatecznym bodźcem uczuć, które Janina świadomie poraz pierwszy poznała w życiu i dla których wątpić o sobie poczęła. Przed oczyma jej stała ciągle świeża i naderobna postać Gabryeli, kochającej silnie i otwarcie: więc mimowoli nasuwało się jej niekorzystne z sobą porównanie. Niedbale rzuciła okiem na kosztowną suknię i kwiaty świeże, przygotowane na dzisiejszy bal publiczny, a tylko od niechcenia spojrzała w stojące obok zwierciadło i jego zapytała o zdanie....

Musiała wypaść zadawalająco, gdyż uspokojona zabrała się do porzuconej niedawno książki.

— Nareszcie on — pomyślała, odetchnąwszy swobodnie — zadzwonił silnie, swoim zwyczajem.

— Pan Konrad przyszedł? — zapytała wchodzącego lokaja.

— List przyniesiono z poczty.

Zaniepokojona, wzięła list w rękę i skinęła na służącego, by wyszedł.

— List.... więc pisze do mnie, zamiast przyjść samemu? A może to nie do mnie. Tak, prawda, to nie jego ręką. Lecz myślę się, najdokładniejszy mój adres — rzekła, obracając list w drżących od wzruszenia rękach i zrywając konwulsyjnie pieczętatkę. Zaledwie jednak odczytała początkowe słowa, przerwała nagle czytanie i westchnęła boleśnie, gdyż aż nadto dobrze znana jej ręka skreśliła ten list, który zaniepokoił ją tak bardzo. Nie chciała go czytać wcale, przeczuwając, że jest wróbitwą nieszczęsnej wieści, gdyż ilekroć człowiek, który go pisał, zbliżał się do drogi

jej życia, tylekroć zostawał za sobą nieszczęścia i mogiły. Ze smutnym wyrazem twarzy opuściła głowę na piersi, a ręka, złowrogi list dzierżąca, opadła ku ziemi.

Zdobywszy się jednak na silną wolę, szybko przebiegła oczyma list swego przesładowcy, Skarosza, który w pełnych uszanowania słowach przeproszał za wszystkie zrażone przykrości i zawiadał o bezpowrotnym z kraju wyjeździe.

Zdziwiona, nie wiedziała co o liście tym sądzić; lecz gdy pomyślała, że i w nim tkwiła opiekuńcza ręka Konrada, twarz jej rozpromieniła się nagle i krzyknęła niemal z radości, gdy ujrzała go we drzwiach salonu.

Blady był bardzo, zmęczony i przygnębiony, jakby troską rozpaczną; lecz dla niej posiadał on wyraz skończonej piękności i szlachetnej powagi. Przybiegła też do niego z radośnym przywitaniem i chciała odrazu wypowiedzieć mu wszystko i odrazu go przebłagać; spotkało ją jednak spojrzenie tak chłodne i bolesne zarazem, że słowa zamarły jej na ustach.

— Jak to dobrze, że pan już przybył! — odezwała się po pewnej pauzie, wracając na miejsce i siląc się na mowę spokojną.

— Byłem w Kijanach.

— Więc to tam powołał pana tak nagły interes? Wszystko obchodzi mnie bardzo, co tego miejsca dotyczy. A może ztamtąd przywiezłeś pan co dla mnie....

Konrad spojrział na nią zdziwiony.

— Cóż miałem przywieźć?

— Może trochę wyrozumiałości... przez siłę dawnych wspomnień... znad brzegów rzeczki... z ogrodowej altany....

— Nie rozumiem pani.

— To może trochę szczerości w postępowaniu ze mną?

— Czyżbym był względem pani kiedykolwiek nieszczerym?

— Panie Konradzie! — odrzekła z mocą — dość tej gry w zakryte karty! Ja wiem wszystko. Wyjechałeś z Ameryki po to, aby przyjechać do Kijan. Nie chciałeś, czy nie śmiałeś, czy też w rachubach twoich nie leżało, ażeby pomódz mi jawnie: więc działałeś w imieniu towarzystwa, które nie istnieje, dawałeś mi dochody, których nie było, podźwignąłeś majątek mój z upadku i zapomniałeś mi świetne w życiu stanowisko.... Za to, że tak długo przyjmowałam od ciebie bezwiednie tak wielkie — dowody dobroci, proszę cię tylko, p. Konradzie, o trochę wyrozumiałości....

— Dobroci? — przerwał Konrad — nie okazałem jej niczem, coby warte było szczególniejszego uznania ze strony pani. Na to, że działałem w imieniu towarzystwa górniczego, znajdziesz pani w aktach swego majątku autentyczne dowody; a że majątek ten, jak również i kopalnie przynosiły dochód: najlepszym świadectwem niech będą księgi administracji. Stanowisko zaś obecne zawdzięczasz pani, nie mnie bynajmniej, lecz rodzicom, którzy pani tak znaczny zostawili majątek, zawdzięczasz je swemu urodzeniu, a przedewszystkiem sobie samej.

— Lecz ileż temu urodzeniu zawdzięczam nieporozumień! Pan nieraz zapewne z tego powodu posadzałeś mnie o dumę i przesadę.... a nie zastanowiłeś się może nad tem, że kobieta jest taką, jaką ją stworzyło wychowanie. O, pan nie znasz dziwnej natury serca kobiecego, nie wiesz, co nas często popycha do walki nieustannej....

— Do walki? po co? dla kogo? — zapytał obojętnie, z odcieniem szyderstwa w głosie.

(Dokończenie nastąpi).

## PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

przez

Bronisława Zawadzkiego.

Początek naszego dzisiejszego przeglądu będzie — przyznajemy — dosyć oryginalnym. Nie

zaczynamy go bowiem, według zasad kanonu pozytywnego, od wielkich imion i dzieł wybitnych, nie od utworów pędzla stanowiących zaszczyt i chlubę salonu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, ale raczej od takich, które, bez uszczerbku dla poważnej i tradycją uświęconej sławy jego, na wystawie znaleźć się nie były powinny. Od dawna już, a jak dotąd bezowocnie, bronimy zasady, iż Komitet Towarzystwa powinien okazywać się mniej pochopnym do przyjmowania obrazów na wystawę; nie znaczna bowiem mnogość dzieł, ale raczej dobór ich mógłby zdaniem naszym dobroczynnie oddziaływać na rozwój smaku i znanstwa artystycznego w publiczności i na wykształcenie prawdziwych talentów.

Na pierwsze zapewne zgodzi się każdy. Wątpimy mocno, aby ktokolwiek odważył się twierdzić, iż szereg ujemnych wrażeń wysięcia umysłowi drogę do bystrzejszego poznania prawdziwego piękna. *Per aspera ad astra*, rzymskie to godło, wszędzie dobre i twórcze, tylko nie w zastosowaniu do głębi estetycznych upodobań. Tu właśnie uprawa podobnej zasady mogłaby do wręcz przeciwnych a wcale niepożądanych doprowadzić wyników: ciągle patrzenie na rzeczy lichy i niedołeżne zatracą w patrzącym możność orientowania się w zdrowych i trafnych zasadach estetycznego sądu, tak, że po pewnym czasie poczyna on zapoznawać granicę pomiędzy pięknem a wyśkokiem, pomiędzy skromną prostotą rzeczywistego dzieła sztuki a pretensjonalną affektacją goniącego za zewnętrznym, grubym efektem niedołeżtwa, które działa dosadnością wrażeń na wyobraźnię niedojrzałego widza i podoba mu się częstokroć snadniej od prawdziwego kwiatu sztuki. Znanstwo estetyczne nie należy do wrodzonych sił człowieka, lecz do nabytych jego uzdolnień. Potrzeba je zatem kształcić w interesie rozwoju sztuki krajowej i estetycznej inteligencji społeczeństwa. Są to uwagi, które następują się tak kategorycznie każdemu nieuprzedzonemu umysłowi, że i ja zapewne, wygłaszając je, nie znajdę przeciwników.

Prędzej spodziewam się znaleźć opozycją dla drugiej części mojego założenia. Jak powiedziałem wyżej, zdaje mi się, iż tylko przyjmowanie takich dzieł na wystawę Towarzystwa wpływa na wykształcenie prawdziwych talentów, które do pewnego stopnia stanowią już pełny i skończony wyraz artystycznego uzdolnienia. Powiedzą może na to, że instytucja, o której mowa, nosi firmę „Towarzystwa zachęty sztuk pięknych“; że zadaniem jej przeto otulać płaszczem samarytańskiej opieki same już pierwociny zaledwo kiełkujących zdolności; że powinna ona z ukrycia wydobywać nieśmiałe imiona i dając poważną zachętę przypinać młodym orłętom skrzydła do lotu. Oby to tylko nie były loty Ikarowe!

Przykłady stwierdziły dostatecznie prawdę, że łatwe powodzenie, że uprzejme usuwanie wszelkich przeszkód i trudności przed młodym aspirantem sztuki, że wczesne uwalnianie go od owych twórczych, istic Prometejskich, pasowań się wrodzonej siły z wrogami okolicznościami, — nienajskuteczniejszym bywają bodźcem prawidłowego rozwoju poczynających talentów. I owszem, łatwe powodzenie raczej zabija talent, nawet rzeczywisty, bo napawa go przedwcześnie dobrem mniemaniem o sobie i wzywają do fałszywego przesądu, że na niwie sztuki o laur zasługi nie trudno. Pierwiastek pracy i reflexy zanika wtedy w działalności młodego aspiranta; szkoła przestaje posiadać dlań charakter postulat, a odrobina zdobytej wprawy we władaniu materyalnemi środkami sztuki zastępuje wszystkie inne, prawdziwe dźwignie talentu. Gdyby młodzi malarze nasi potrzebowali długiego pasowania się z własną niemocą techniczną, zanim dostąpią zaszczytu pokazania swojego dzieła na poważnej wystawie Towarzystwa, o ileż wyżej stałaby malarska produkcja miejscowa! U nas dziś jednak tak się rzeczy ułożyły, że lada bazgranina, w której zarysowuje się zaledwo w mglistych, niedojrzanych liniach pewien talencik odległej przyszłości, zajeżdża wnet na tryumfalnym rydwanie do salonu Towarzystwa, a dyktant, który zaledwie dobrze nauczył się farb rozcierać, uważa się już za uprawnionego do

pozowania na artystę. Prosta rzecz, że takie uczucie nie bywa kolebką wytrwałej pracy i surowego poczucia obowiązku. Gdyby n. p. p. Wandalin Strzałęcki, posiadający niewątpliwy temperament artystyczny i powołany zapewne do zajęcia *drogą pracy* wybitniejszego stanowiska w sztuce krajowej, nie doznawał tak bezwzględnej gościnności dla prac swoich u Komitetu Towarzystwa, byłby z pewnością o kilka lat wprzód pojechał do Monachium i nie wymalował kilkudziesięciu obrazów, zanim wziął się poważnie do nauki rysunku i kompozycji.

Z wędrowek naszych do salonu Towarzystwa w ostatnich paru miesiącach wynieśliśmy przekonanie, że takie obrazy, jak „Wiec“ Adryana Głębockiego, „Ciekawa książka“ Zdzisława Lipskiego, „Klasztor OO. Franciszkanów w Grodzie“, Ursyna Niemcewicza „Wodospad w Tivoli“, „Klasztor Benedyktynów w Subiaco“ Schouppéego, „Zatoka morska“ Ruśkiewicza, „Obiad wyrobnika“ i „Kuznia wiejska“ J. Polkowskiego, „Poranek“ Unierzyskiego, „Portrety artystów“ Murzynowskiego, „Krajobraz“ Góranowskiego, „Zagroda wiejska“ E. Komara, „Narodzenie Chrystusa“, „Czaty“, „Epizod z bitwy pod Warną“ i „W dzień majowy“ F. Sypniewskiego; „Krajobraz“ Klopfera, „Widok Wenecyi“, „Widok morski“ St. Woronieckiego, „Ulica Alexandrya w Warszawie“ F. Bagińskiego, „Akwarella“ Rudzkiego, „Przy studni“ Fr. Wastkowskiego nakoniec obrazy p. Gepnera i wiele, wiele innych — nie przyniosły pożytku ani publiczności, ani artystom, ani dobrze zasłużonej sławie Towarzystwa.

Przejdźmy do rzeczy weselszych. *Henryk Siemiradzki* przypomniał się znów w Warszawie, wprowadzie nie „Tyberuszem na wyspie Capri“, którego oglądają obecnie Wiedeńczycy, ale mniejszą przynajmniej kompozycją rodzajową na tle antyku włoskiego. „Wypoczynek“ przedstawia klasyczną werendę przed pałacem rzymskiego patrycyusza, wznoszącym się w majestatycznych kondygnacjach ku górze a lśniącem przy blasku południowego słońca od silnych reflexów marmuru i alabastru. Dwóch Rzymian, jeden stary, drugi młodszy, zabawia się czytaniem pergaminów. Nubijczyk, stojący opodal pod posągami Dyany, trzyma cały zwój ich do wyboru, według woli i chęci pańskiej. Tymczasem jednak raczą się obydwa czytelnicy cypryjskim winem, lejącem się z amfory, którą nachyla piękna niewolnica w długiej, szczelnie okrywającej ciało, zielonej chlamidzie. Surowa, szeroka, pełna siły i dumy, twarz senatora ma wejście przesytu i obojętności: snadź już czarę rozkoszy zmysłowej wychylił do dna i jeszcze tylko smakuje w czarne wino. Młodszy sąsiad jego, natura widocznie krewka a gminna, spojrzeniem pożądlivem wodzi po harmonijnych kształtach dziewczyny, której braknie tylko piękności, aby mogła głębiej zająć widza, mniej brutalnie usposobionego. Wyznajemy, że owa pospolitość i gminność profilu twarzy młodszego Rzymianina nie wydaje nam się właściwą do wywołania odpowiedniego wrażenia w danej sytuacji. Zapewne, że w epoce Cesarstwa, pod egidą rządów takiego Kaliguli lub Nerona, to kąpienie się w urokach poezji i w błocie rozpusty szło z sobą w parze i stwierdzało się realnym faktem pomimo psychologicznego nieprawdopodobieństwa. Są wszakże stwierdzone w dziejach antytezy, które nie dadzą się przenieść w dziedzinę malarstwa i uprawdopodobnić na płótnie. Aby widz mógł usprawiedliwić sobie takie sprzeczności, potrzebuje pomocy erudycji; wrażeń, jakie odbiera z obrazu, braknie prawdy i prostoty. W tym razie zaś przedewszystkiem braknie i wdzięku wobec tego, że postać niewolnicy jest niesympatyczną i nieładną. Tak wyglądać mogła ta starożytna „siesta“ rzymskiego senatora, ale, artystycznie rzecz biorąc, mało ona posiada warunków zajęcia i wzruszenia. Cała zresztą kompozycja tła jest wielce malowniczą; efekta jaskrawych światła i jedwabnych cieni ślizgających się powiewnie po marmurach, jak zawsze u Siemiradzkiego, wywołane mistrzowskim pędzlem. Coprawda jednak, mistrzostwo to przestaje nas już porywać podzi-

wem, gdyż, powtarzane do przesytu na każdym nowem płótnie, postradało już urok i siłę nowości.

P. *Wandalina Strzałęckiego* duży obraz: „Otrucie ostatniego księcia Mazowieckiego“, pozbawiony jest piętna kompozycji historycznej. Nie czujemy się przeniesionymi w epokę, w której odegrała się ta ponuro-romantyczna scena; raczej wydaje się widzowi, że ma przed sobą starannie wymuskany żurnal historyczny, w którym malarzowi chodziło o malowniczość efektu, zdolną podnieść elegancją i wdzięk wytwornych sukni, które zdobią owego trubadura opartego o gitarę i tę piękną kobietę, która w kryształowym pucharze podaje mu różowy napój. Maż to być trucizna? Dla czego? Chwila taka z natury swojej musi posiadać charakter dramatyczny. Inaczej piękna rączka szafuje winem, inaczej trucizną. Bez walki wewnętrznej, bez wzruszeń ukrytych, bez spojrzeń nieokreślonych, bez drgnień konwulsyjnych, akt taki nie może się odegrać pomiędzy dwojgiem młodych ludzi, w atmosferze romantycznej exaltacji; wonne kwiaty i czuła gitara nie powinny osłabiać tragicznej grozy takiej sceny, ale ją raczej siłą kontrastu potęgować. Pod pędzlem p. Strzałęckiego mają one tylko przeznaczenie skokietowania oczów widza, podobnie jak złote lamy, jak perły szkliste i gronostaje miękkie, jak cały ten wytworny przepych, otaczający scenę otrucia. Obie postaci nie mają żadnego wyrazu; ani tu znaleźć pełnej, szczerej ufności, ani pieśzcotliwej, ponętnej a zgubnej obłudy. Obraz nie jest ani dramatem ani historią: a tu właśnie chodziło o dramat i historią. Oile dotąd znamy talent p. Strzałęckiego, nie zdaje nam się, aby malarstwo historyczne było właściwem polem dla jego wyobraźni, goniącej za motywami płoczej fantastyczności, za tem, co Francuz nazywa *bizarre*, i cobyśmy przyrównali do baroku w architekturze. Historia ma swą powagę i prostotę, z którą fantazji p. Strzałęckiego niełatwo już będzie kiedykolwiek się oswoić. Dlatego wolelibyśmy, aby poprzestał na kompozycjach wyłącznie rodzajowych lub alegorycznych, a pominął motywą z głębszą doniosłością psychologiczną. Kompozycja obrazu, o którym mówimy, nie zaleca się też w ogóle jasnością planu i miarą w doborze szczegółów. Znać u artysty ciągle jeszcze tę *Sturm und Drangperiode*, która w ramach jednego obrazu chciałaby pomieścić cały mikrokosmos bagatelek niewiążących się z istotą i treścią obranego przedmiotu. Postać księżęcia jest wadliwie narysowaną; wymiary figury od głowy do pasa nieproporcjonalnemi są w porównaniu z długością dolnej części ciała. Jedyne mi zaletami tej, chybionej, acz efektownej, kompozycji są pewne szczegóły w tonie kolorytu: jak wypieszczone subtelnie złocenia w oliwkowej, gustownie cieniowanej sukni kobiety, jak rzeźba kryształowej czary i t. p. Głaszcze to mile oko, ale nie przytłumia reflexy dla obrazu niekorzystnej.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## Korrespondencja zagraniczna.

Lwów, w Lipcu 1881 r.

Literatura moralna. — *Lud wiejski, pogadanka* przez księdza Siemiradzkiego. — Wystawa robót kobiecych i tkackich w Muzeum Przemysłowem. — Tkactwo w Galicyi. — Wystawa obrazów. — Prośba do artystów. — Niedogodne pomieszczenie wystawy. — Nowy gmach sejmowy. — Teatr letni.

Jest to już w naturze ludzkiej, że nie lubimy *stuchać moralów*, i cała rzecz polega na umiejętności podawania prawd moralnych w formie tak prostej i przystępnej, iżby nie zrażały czytelnika pedantyzmem, rozwlekłością i gadulstwem, ale wnikały do przekonania pięknością myśli, szlachetnością celów i logiczną zdań oczywistością. Bardzo też wiele zależy na tem, aby pisarz-moralista nie ograniczał się w sferze samej teorii etycznej powtarzaniem rzeczy i zasad znanych, ale, wychodząc ze stanowiska praktycznego, umiał je trafnie

zastosować do potrzeb chwili bieżącej, do obecnego stanu społeczeństwa, związać z rzeczywistością, a przeto żywe zajęcie obudzić w czytelniku i książkę swą prawdziwie użyteczną uczynić.

Mysli te nasunęły mi się przy czytaniu wydanej niedawno przez księdza Siemińskiego we Lwowie broszurze pod tytułem *Lud wiejski — pogadanka*, w której to pogadance, dotykającej naszych społecznych stosunków ze stanowiska etyki praktycznej, znalazłem wiele prawd, wiele zdrowych poglądów na stosunki i położenie ludu wiejskiego u nas, wiele uwag i nauk, któreby, że tak powiem, złotemi warto wypisać literami, wyrzeźbić w pamięci każdego myślącego filantropa. Cała rozprawa x. Siemińskiego, szczególnie dla duchowieństwa jest przeznaczoną. Autor zaczyna od wykazania potrzeby nauki katechizmu i katechizacji w sposób owiele rozleglejszy i praktyczniejszy, niżeli to się dzieje po wielu parafiach obecnie. Naukę katechizmu stawia bardzo wysoko, słusznie uważając ją za kamień węgielny oświaty i moralności ludu. Potępiając bigoterią i wszelkiego rodzaju hypokryzją ducha, x. Siemiński tłómaczy kolizję zachodzące nieraz pomiędzy przykazaniami kościelnymi a obowiązkami lub miłością bliźniego ze stanowiska najczystszych zasad chrześcijańskich. Co do formy zewnętrznej, pragnie naukę katechizmu ożywić przyjęciem metody obrazowej, zamiast używanej dotychczas oschłej a częstokroć mało zrozumiałej dla umysłu dzieci i prostactwów. Reformę katechizmu pod względem formy ilustruje Siemiński rozumnie dobranymi przykładami, rozwijając przytem nader zdrowe i trafne poglądy dydaktyczne. Przemawia gorąco za zakładaniem ochronek po wsiach, będących, jak słusznie powiada, wstępem do cywilizacji ludu i przygotowaniem do szkółki wiejskiej. Rozpatrzywszy metodę katechizacji, ksiądz S. przechodzi do kazalnicy i rozbiiera sposoby skutecznego kazania dla ludu, stawiając za przykład pomiędzy kaznodziejami społecznymi zmarłego niedawno x. Karola Antoniewicza. Rozpatruje dalej rozmaite stosunki wpływające na umoralnienie lub demoralizację naszego ludu, gromi karczmy, podaje środki krzewienia pracowitości i enót domowych pomiędzy ludem — w końcu zaś poświęca ostatni rozdział zabawom ludowym, dochodząc w nich także pożytku umysłowego i umoralniającego wpływu. „Szczęśliwy lud, który się umie weselić“. *Beatus populus, qui scit jubilationem*: w tych słowach Pisna Św. znajduje x. S. zasadę do rozwiązania trudności nasuwających się moralście. Za pożyteczny środek ucywilizowania ludu uważa stosownie dobrane widowiska sceniczne na wzór teatru religijnego w Oberammergau, będącego uroczystością parafialną, dodziśnią przechowaną. Lud nasz nie umie się bawić, powiada autor, i jeżeli w niedzielę nie oddaje się pijaństwu, to można powiedzieć, że poza nabożeństwem przepędza dni świąteczne [na wzór Indyan: rodziny całe siedzą przed chałupami w niemiejskiej kontemplacji. Gdybyż przynajmniej, woła x. Siemiński, mieli ogródki, altanki, książki, gazetki! i podnosi przy tej sposobności użyteczność rozporządzenia władz szkolnych niemiejskich, aby nauczyciele wiejscy uczyli dzieci wiejskie gier towarzyskich, ćwiczących, nietylko zręczność fizyczną, ale i dowcip.

Wiele jeszcze zapewne wody upłynie nim lud nasz wiejski, zamiast wygrzewać się na Bożem słońcu przed chałupą w dni świąteczne, będzie miał altanki, książki, gazetki i oddawał się im z taką przyjemnością jak wypoczynkowi, w niemem dziś osłupieniu używanemu. Niemniej przeto *in magnis voluisse sat est*. Zwolna dochodzi się do wszystkiego, byle cel był pożyteczny i droga wytknięta. Mysli rozrzucone w pogadance x. Siemińskiego uważamy za złoty posiew, który prędzej czy później plon wyda pożyteczny. Gdybyśmy na tej roli wielu takich posiadali pisarzy i myślicieli, praca około podźwignienia materialnego i moralnego ludu naszego postępowałaby owiele skuteczniej i pomyślniej. Z tego też powodu wyglądamy z upragnieniem zapowiedzianą przez autora następnej podobnej pogadanki, która ma być poświęcona rozpatrzeniu stosunków ludności małomiasteczkowej.

Zarząd tutejszego Muzeum Przemysłowego postanowił urządzić w Grudniu bieżącego roku wy-

stawę robót kobiecych i tkackich, i czyni już obecnie przygotowania, aby wystawa rzeczona była w swoim rodzaju zupełną i oryginalną, mianowicie, aby objęła wszystkie krajowe wyroby przytoczonych powyżej obu gałęzi przemysłu domowego. Będą na niej umieszczone roboty kobiece, ręczne i warsztatowe, hafty, koronki, naszywki i bielizna, z wyjątkiem wszystkich takich robót, których wzory przychodzą z Paryża lub Wiednia jako kaprys chwilowej mody i jako taki zmieniają się i przeobrażają, nie posiadając wyrazistszego charakteru typowego. Wystawa lwowska ma cel inny, ściśle wytknięty. Zamierza ona zaznaczyć publiczność z tradycyjnymi motywami swojskiego smaku i swojskiej naszej fantazyi, jakie się w swej pierwotnej czystości zachowały pomiędzy ludem. Rzecz więc naturalna, że wykluczone będą z niej roboty krawieckie, modniarskie i kwaciarskie, będące tylko wymysłem spekulacyjnym na zyskowną sprzedaż obliczonym. Kto zna wydawane przez Zarząd muzealny *Wzory haftów włościańskich*, owo cenne album, dające dokładne pojęcie artystycznego zmysłu naszego ludu i wpływów, pod jakimi urabiała się samorodna jego twórczość artystyczna, ten będzie już miał wyobrażenie o zapowiedzianej wystawie lwowskiej. Co w albumie rzeczonym oglądaliśmy w pięknie chromolitografowanej kopii, to tu ujrzemy w oryginale. Będzie to w części przypomnieniem przeszłorocznej wystawy etnograficznej w Kołomyi, na której ten dział właśnie, dział ręcznych robót kobiecych włościańskich, znakomicie się wyszczególniał.

Tkactwo galicyjskie jest bardzo, mianowicie na całym Podgórzu Karpackim, rozpowszechnioną gałęzią przemysłu i wymagałoby tylko starannej opieki, wskazania mu właściwego kierunku i dostarczenia w przystępnych warunkach materiału surowego, aby się stało obfitem źródłem dobrobytu licznej klasy ludności, przemysłowi temu się poświęcającej. Któżby uwierzył, gdyby nie statystyka ze swemi niezachwianymi liczbami, że Galicya posiada na samem Podgórzu około 30,000 tkaczów i tyleż zwłaszcza w porze zimowej w ruchu warsztatów, wyrabiających jaknajrozmaitsze płócienniki! Sprawdziła to kommissya wysłana z ramienia Wydziału Krajowego umyślnie dla zbadania stanu tkactwa galicyjskiego i obmyślenia środków podania mu pomocy do należytego rozkwitu. Kommissya, zwiedziwszy przestrzeń kraju od Rymanowa do Korczyna i dalej w góry, znalazła w każdej tu chacie warsztat tkacki i samorodnego tkacza wyrabiającego tradycyjnym, przyjętym od ojca i dziada sposobem płótna, wybornego nieraz gatunku i wykwinnych wzorów, na zamówienie okolicznych przekupniów, dostarczających im materiału, który zabezpieczony według zamówionych wzorów przerabiają. Tkactwo tutejsze świetnie opłacałoby się, gdyby nie to, że, niepoznanomione wcale z obrotem handlowym, pracuje niejako pociemku, nie zna i nie umie sobie otworzyć dróg odbytu, przez co zostaje pod wiecznym monopolem wyzyskujących je handlarzy.

Do jakiej doskonałości pod względem techniki tkackiej dochodzą wyroby tkaczów tutejszych, okazuje pewien drobny szczegół, który tu z własnego przytoczę doświadczenia. Jednemu z moich znajomych, przejeżdżającemu przez Bukareszt, wpadły w oko u jednego, z tamtejszych kupców wystawione na sprzedaż przesłiczej roboty i w oryginalne wzory tkane płótna, mianowicie: ręczniki, obrusy i t. p., które kupiec jako bardzo kosztowny wyrób wschodni, wprost ze Sambułu sprowadzony, zachwalał. Znajomy mój, będąc znawcą, nie poprzestał atoli na tem zapewnieniu, lecz, przypatrzywszy się dokładnie wzorom tych tkanin i znajdującym się na nich znakom tkackim, przekonał się, iż ten, wrzekomo z dalekiego Wschodu sprowadzany, wyrób pochodzi, nie z kądinąd, jeno z warsztatu któregoś z licznych naszych tkaczów z pod Stryja lub Kołomyi, gdzie przed laty kilku zupełnie takieżsame wyroby, tegożsamego gatunku i o takich wzorach, jako osobliwość pod względem oryginalności smaku i dobroci wyrobu, podczas swej wycieczki w góry był zakupił. Na takim stopniu stojące u nas tkactwo potrzebuje tylko umiejętnej wskazówki, troskliwszego niż dotąd zajęcia się niem, aby się świetnie rozwinęło

i stało jednym z najzyskowniejszych źródeł przemysłu naszego ludu. Do tego dąży właśnie zapowiedziana wystawa. Celem jej jest zaznajomienie publiczności z tem, czem jest i czemu być mogło tkactwo u nas, gdyby stosownej doznawało opieki; jest zwrócenie nań uwagi ludzi wpływowych i zapewnienie mu tym sposobem lepszych warunków rozwoju.

Mamy już od kilku tygodni wystawę sztuk pięknych; ale dotąd liczy ona zaledwie około osmdziesięciu obrazów, między którymi znajdują się też rzeczy znane z wystaw dawniejszych. Jak na wystawę doroczną, mającą być niejako spółzawodniczym popisem malarstwa naszego, przedstawiającym obraz społecznego postępu, co być miało pierwotnie zadaniem wystaw naszych, według różowych zamiarów założycieli lwowskiego naszego Towarzystwa sztuk pięknych, każdy przyznać musi, że to przecież zamało i bardzo zamało. Trudno zaprzeczyć, pomimo najprzychylniejszych chęci dla towarzystwa naszych przyjaciół sztuki, że wystawy lwowskie podupadły ostatnimi laty; a chociaż znajdzie się corok pewna liczba obrazów zwracających uwagę jako utwory znakomitego pędzla, choć w katalogu nieraz świeci jedno lub drugie nazwisko najpierwszych naszych artystów z Krakowa i Warszawy, Mnichowa lub Rzymu: to w ogóle biorąc, tak pod względem liczby obrazów, jak i wymagań co do krytycznego wyboru dzieł na wystawę przypuszczanych, dzisiejsze wystawy lwowskie nie dorównują dawniejszym. Jaka tego przyczyna?

(Dokończenie nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Telefon. — Teatr. — Konserwatorium. — Wydawnictwa.

(Dokończenie).

Teraz przejdźmy na inne pole i pomówmy o nowych wydawnictwach.

Ruch wydawniczy od lat paru cokolwiek się u nas ożywił, lubo zawsze przeważnie redukuje się do tańców. I dziwić się temu trudno! W kraju, gdzie nuty mające *powodzenie* rozechodzą się w ilości *trzechset* exemplarzy, — co przy honorarium autorskim, procentach innym księgarzom, etc. zaledwie kosztą pokrywa, — nie podobna wymagać, aby p. p. wydawcy *dla dobra sztuki* sami się ruinowali. Łatwiej już to otrzymać za pomocą prenumeraty, jak właśnie czyni „Echo Muzyczne“, którego staraniem tym sposobem wiele dzieł już wyszło, o czem niżej.

Nie sądzimy, aby było zajmującym dla czytelników „Bluszczu“ wyliczenie wszystkich bez wyjątku dzieł, jakimi *wzbogaciła się* w ciągu ostatnich dwóch lat literatura nasza muzyczna; są bowiem między niemi utwory tak słabe, że wiadomość o nich dla wielu czytających byłaby zupełnie zbyteczną. Znajdują one, z urzędu niejako, stosowną ocenę w osobnej rubryce „nowości“ w „Echu Muzycznym“, do której też ciekawych odsyłamy. Nam tu wypada wspomnieć o niektórych wybitniejszych, lub użytecznych dziełach. A nawet, pożytek przynosząc w tej chwili nad przyjemność, rozpoczniemy od dzieł pedagogicznych. W tym kierunku każda nowość jest cenna, bo brak wielki takich dzieł w języku polskim przeważnie czuć się daje. To też powinniśmy szczerą wdzięczność wyrazić panu Żeleńskiemu, że przyswoił naszej literaturze część pierwszą szkoły na fortepian, Leberta i Starka, bezsprzecznie najznakomitszej z dotąd napisanych. Jedną tylko ma wadę ta szkoła: tę, że jest długa, a zatem i dość kosztowna. Ta część, która wyszła, w dwóch oddziałach, kosztuje 5 rubli. Inny-by jeszcze zarzut można uczynić samemu opracowaniu. Oto w oryginale niemieckim bardzo racjonalnie umieszczone są, dla poczynających uczniów, łatwe i muzykalnie dobre układy narodowych pieśni... niemiejskich. W polskim wydaniu bezwarunko-

wo te przykłady powinny były być zastąpione pieśniami naszymi, a tego nie uwzględniono.

Innym dziełem teoretycznym jest *szkółka* na skrzypce, ułożona przez Wł. Górskiego: rzecz bezwarunkowo dobra i użyteczna, lubo nie w tym sensie, jak tytuł zapowiada. Zbiór ten nie jest wcale szkołą, we właściwym znaczeniu tego wyrazu, lecz kompilacją etiud i ćwiczeń, bardzo dobrze i systematycznie z różnych autorów zebraną, a poprzedzoną króciutczym wstępem, zaopatrzoną w rysunki trzymania i prowadzenia ręki i smyczka.

Do pedagogicznego działu zaliczyć również należy dwie etiudy p. Pachulskiego (Op. 1) świadczące o talencie kompozytora. Pan P. od roku już przeszło odbywa studia w Lipsku, poczem zapewne jego talent szerszym lotem się rozwinię. Szkoda, że pan Schlötzer, oprócz dwóch swoich przeslicznych i trudnych etiud, nic więcej nie napisał. Również pożądanym byłoby wydanie pięknej etiudy i *appassionata* p. Michałowskiego, która, mimo swej trudności, wielu znalazłaby zwolenników.

Mówiąc o etiudach, nie podobna zamilczeć, że Instytut Muzyczny Warszawski oficjalnie przyjął do nauki, dla kursu *niższego* gry na fortepianie, wyborny zbiór etiud, ułożony z różnych autorów przez prof. Konser. Petersburskiego, p. Lütshg. Tegoż autora tak zwany „répertoire“, czyli zbiór sonat i sztuk do grania dla uczniów, jakkolwiek w Konser. War. oficjalnie nieprzyjęty, również bardzo poleconym być może. W zbiorze tym, posuwającym się stopniowo od sztuk bardzo łatwych do dość trudnych, spotykamy się jednak z systematycznym unikaniem Szopena i w ogóle rzeczy expressyjnych. Jest to wielką wadą, gdyż tym sposobem wyrabiani uczniowie oprócz techniki mogą nic więcej nie posiadać.

Pisząc tedy o naszym Konserwatorium, naturalnym związkiem myśli przechodzimy do nowych utworów p. a Zarzyckiego. Są to: koncert na fortep. z orkiestrą, a także dwa Mazurki, Chant d'amour i Barcarolla. Wszystkie te utwory są bardzo ładne; passażowanie w nich świetne i pełne elegancyi; myśli świeże, niebanalne, a każda opracowana z prawdziwym artystem. Wszystkie te dzieła dla literatury cennym są nabytkiem. Jakoż już panna Janothówna na jednym koncercie dała słyszeć jednego Mazurka, zaś uczennice Konserwatorium chętnie studiują koncert, którego przejścia palcowe są stosunkowo wygodne i zakrój mają jakby trochę szopenowski. Godnymi także wzmianki są 3 pieśni Zarzyckiego, niedawno wydane u Sennewalda: „Dola“, „Dziewczę i gołąb“ i „Nie mów...“ Szczególniej pierwsza od razu wpada w ucho, — i może z nich trzech będzie najpopularniejszą.

Pan Żeleński w ostatnich czasach znaczną liczbą nowych kompozycji nas wzbogacił. Jest to najzdolniejszy bezzaprzeczenia z naszych kompozytorów, posiadający bardzo wybitną indywidualność. Znamieniem tej indywidualności jest, przebijająca się wszędzie, głęboka wiedza muzyczna, wskutek czego pomysły Żeleńskiego, niezawsze jednakowo sympatyczne pod względem swej melodyjności, nadają się wybornie do kombinacji kontrapunktycznych. Jeśli jednak w chwili wyższego polotu temat znajdzie się piękny, wówczas dzieła Z. przemawiają prawdziwym, tęsknym patosem i silnie wryć się mogą w duszę. Cytujemy n. p. w tym rodzaju Andante z poprzednio już wydanego Tria fortepianowego. Obie późniejsze Sonaty, fortepianowa i skrzypcowa, już nie mają tej świeżości i polotu myśli; szczególniej skrzypcowa jest jakby wysmażona i nader niewdzięcznie pisana dla instrumentu, lubo i w niej śliczne scherzo, w trochę archaicznym stylu, się znajduje. Taka archaiczność, czyli w ogóle oryginalne nieraz połączenie powagi z naiwnością, stanowi właśnie jedną z cech wybitnych danego talentu: pod tym względem śliczną perelką jest np. *Pieśń Jaruchy* do słów ze Starej Baśni Kraszewskiego. Opiera się ta kompozycja na staroświeckiej gammie minorowej bez nuty charakterystycznej (d moll, bez cis), i pełna jest uroku. Harmonie Żel. wszędzie są bogate i dziwnie *mówiące*. W pieśniach wszędzie też przebija się kunsztowność; czasami niezawsze to wdzięczne pole daje głosowi

(jak np. w piosnce: „Czy aniołek, czy dyabełek“), ale też nieraz z takich drobnych rozmiarem utworów wysnuwa autor całości misterne. Najpopularniejszą, choć nie najpiękniejszą, z nowszych pieśni Z. jest Mazurek: „Marzenia dziewczyny“; z innych wymieniamy: „Cobym ja ci chciała dać?“, „Łaskawa dziewczyna“, „Sen“, oraz pierwsza z dwóch pieśni do słów Z. Kraszińskiego, niedawno wydanych. W tym stylu z dawniejszych zasługuje na uwagę: „Tęsknota za zimą“ do słów Kościelskiego. Obecnie Żel., wyjechawszy zupełnie z Warszawy do Krakowa, całą swą działalność skierował na wykończenie opery: „Konrad Wallenrod“. Dzieło to, jak wtajemniczeni twierdzą, ma mnóstwo piękności i jest już blizkiem ukończenia.

Oprócz pieśni wyszły z druku tegoż autora dwa bardzo zajmujące mazurki na fortepian, ofiarowane pani Menter, oraz przesliczna Kołysanka na wiolonczellę.

Pan Zygmunt Noskowski należy również do wybitnych talentów. Indywidualność kompozytora niedość się jeszcze jasno rysuje, widać tylko, że nie swych myśli wysnuwać pragnie z rodzinnych motywów. Tendencja ta przebija się wobu jego nieposledniej wartości symfoniach, oraz w dwu i czteroręcznych krakowiakach, które właśnie do nowszych wydań należą. Trzy pieśni wydane z tekstem niemieckim i polskim, mniej nas zajęły; są to dobre kompozycje, ale bez cech wycieniowania artystycznego myśli. W kwartecie smyczkowym pan N. stworzył bardzo piękne rzeczy, w ogóle z instrumentacją zna się doskonale, i to mu dodaje bodźca do samodzielności myśli. W orkiestrze też, prawdopodobnie w symfonii, leżeć będzie główna waga tego pięknego talentu.

Lecz mieliśmy mówić o wydawnictwach warszawskich, a mówimy o niedrukowanych symfoniach; nie podobna jednak pisać o kompozytorze, nie wspomnieć o dziełach jego najważniejszych, które rzucają światło na zrozumienie kierunku jego i w mniejszych utworach. Ale i u nas wyszła jedna symfonia. Mianowicie p. Dobrzyński (syn) wydał Symfonią 1-szą (c dur) swego ojca w układzie czteroręcznym, i to tak szczęśliwie, że nakład wkrótce zupełnie został wyczerpany.

U Sennewalda wyszły utwory hr. Wielhorskiego „Deux impromptus“ i „Deux valse“, odznaczające się misterną, niekiedy dziwną trochę, fakturą. Szczególniej drugi Walec, *Cis moll* bardzo jest ładny.

Jeśli do niewielkiej liczby tu wspomnianych utworów dodamy kilkadziesiąt bardzo słabej przeciętnie wartości tańców, to podobno i wyczerpiemy cały nasz zasób wydawniczy...

Lecz nie! nie godzi się przecież zapominać o jednym wydawcy, który bardzo pracowicie wydaje utwory, przeważnie polskie, a wydaje z sumiennością i punktualnością, *lepszego godną losu!* Któż jest tym... dobroczyńcą? spytacie szanowni czytelnicy? nie wiemy nic o nim... Otóż to właśnie że nie wiecie, to mię trapi, a przynajmniej, że w małej tylko liczbie wiecie, i że skąpo udzielacie mu swego poparcia!

Tu, zarumieniwszy się skromnie, powiem, że owym wydawcą, jest... „Echo muzyczne“, którego reprezentantem wobec publiczności jest pokorny Wasz sługa. Oto nowe i dotąd nieznanne utwory polskich kompozytorów, które od początku r. 1880 wyszły w Echu M.:

Bogarodzica, pieśń starożytna. — *Biernacki* Michał: Romans na skrzypce. — *Szopen*: Souvenir de Paganini (Waryacje z „Karnawału Weneckiego“), Waryacje na temat niemiecki, Walce E dur, As dur (pierwszy znany z wydania krakowskiego, drugi według nowej i autentyczniejszej wersji). — *Czczott*: Układ for. Andante z Tria D moll Mendelssohna. — *Dobrzyński* (ojciec) Impromptu (znale z „Gazety Muz. i Teatr.“) — Polonez na 4 ręce (nieznany zupełnie). — *Dobrzyński* (syn): Impromptu. — *Gomółka* (wiek XVI): Trzy psalmy. — *Gross* Adam: Ballada. — *Hofmann*: Mazurek z op. „Dziatwa syreny“. — *Jarecki*: 4 pieśni („Mgła“, „Wspomnienie“, „Jaskółka“, „Noc“). — *Jakesz*: „Biały kamień“ pieśń. — *Łożyk*: Romans na for. — *Kleczyński*: Myśli ulotne („Preludium“, „Bajeczka dziecinna“, „Roz-

mowa“, „Kurant“, „Mazurek“, „Przy Kołowrotku“), „Niepogoda“ — pieśń i „Okruszyzna“ (na for.). — *Kurpiński*: Pieśń z „Zamku na Czorsztynie“. — *Kamiński*: Polonez z op.: „Nędza uszczęśliwiona“. — *Krzyżanowski* Ig.: Krakowiak na for. — *Leskiewicz*: Polka Mazurka. — *Münchheimer*: Krakowiak: „Flisaki“. — *Moniuszko*: Kołysanka i Fraszkli na fortepian, Elegia, Pieśni: „Dni radości“, „Do słowika“, „Powiedz mi, mateczko“, „Gdybym ptaszka postać miał“. — *Michałowski*: Mazurki. — *Müller*: „Mazur do tańca. — *Noskowski*: Krakowiak na 4 ręce (przedruk), „Niewidome dziewczę“ śpiew. — *Pam* (pseudonim): Kontredanse swoje, Polka. — *Rutkowski*: Dwie pieśni. — *Romaszkan*: Chór. — *Szadurska* Walerya: Walec na for. — *Troschel* Wilhelm: Modlitwa na dwa głosy. — *Wielhorski* hr.: Andantino. — *Zawadzki*: Dumka. — *Zarzycki*: Psalm. — *Żeleński*: Dwa chóry („Nasza Hanka“, „Salve Regina“).

Czyż tego nie dosyć?

Na zakończenie wspomnimy jeszcze o zupełnie świeżo wydanych utworach trzech młodych kompozytorów: p. p. Pankiewicza (Menuet i Humoreska), Rutkowskiego (dwie pieśni na fortep.) i Padarewskiego (Trois morceaux). Z tych pierwszy jest pełnym nadziei i dobre wzory studiującym kompozytorem, drugi więcej, a trzeci najwięcej rozwinął samodzielności, rokując talent twórczy nader wybitny.

*Suum cuique* — to jest oddać każdemu, co mu się słuszenie należy. A cóż się nam należy, łaskawy czytelniku? to jest tobie i mnie? Rozumie się — odpoczynek, a więc składam pióro.

Jan Kleczyński.

## ŻYCIE POD ZWROTNIKIEM

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dokończenie, ob. Nr 32).

Drugie miejsce po czworonogich faworytach zajmuje w łasce administratora potomstwo Murzyzna, przychówek dwunożny, z którego cenny wyrasta inwentarz. Jeśli administrator jest w złotym humorze i pokrólewsku się zabawie pragnie, każe przyprowadzić dzieci z ochronki przed ganek. Kilkadziesiąt czarnych bębnow wybiega wtedy z rodzaju szkółki freblowskiej, pod nadzorem tak zwanej „cioci murzyńskiej“, zgrzybiałej babiny, do roboty w polu już niezdatnej, więc doglądającej przychówku, którego rodzice trzecinę pięt i ścinają. Ciocia podąża za elewami, w podartej bieliźnie, poważnie, z prętem w ręku. Malcy, których ducha wcześniej złamano, żeby w pokorną czeladź rośli, czolgają się w kurzawie przed państwem. Biedne sierotki! serce się kraje na widok tych pyzaty, kudłaty, brzuchaty, hebanowych istot, z ząbkami i oczętami świecącymi naksztalt iskier, umyślnie tak pomieszanych, żeby rodzice rodzeni, własnego pierworodnego, odebranego im zaraz po odłączeniu, w tej gromadce nie poznali! Na skinię administratora śmieją się dzieci, śpiewają chóry do kociej muzyki podobne; tańczą skokami bez taktu i porządku, czubią się o ciskane między nich monety. Państwo się śmieją do rozpuku i bawią tą codzienną sceną, jakgdyby pierwszy raz w życiu ją oglądali. Widz ze stron dalekich także krzywi twarz uśmiechem wymuszonym, z grzeczności dla gospodarstwa, choćby rad nad nieszczęsnym, wcześniej dręczonym, tresowanym, w automaty zmienianym, drobiazgiem zapłakał. Znużdziwszy się dziećmi, pan im owoce i chleb biały rozdaje i odprawia je. Młodsze do ochronki wracają, starsze do cukrowni, gdzie są użyteczne przy obracaniu na słońcu i suszeniu *begaso*, czyli pozbawionych słodkiego syropu odpadków trzcinowych, któremi się pali pod kotłami i cukier warzy. O, murzyniutko zaprawia się do pracy już od wieku, u nas szkolnym zwanego! Na plantacyi nikomu próżnować nie wolno, jeśli nie jest człowiekiem europejskiego pochodzenia.

Życie kubańskiego niewolnika jest mechanicznym, bez końca powtarzaniem zajęć, małego umysłowego, a wielkiego fizycznego, wysilenia wymagających. Musi on robić w świętek i piątek, dopóki może. Dzięki systematycznemu włożeniu od dziecka, zgina się cierpliwie, wytrwale, pokornie, pod ciężkiem, nigdy na chwilę niezdejmowanym, jarzmem. Los Kulisów, czyli chińskich wyrobników, jest łżejszy, gdyż ci, skutkiem wyższej inteligencji, do obsługi maszyn się przydają. Związani długoletnimi umowami i pozbawieni opieki, na zabitej desce od świata i sprawiedliwości plantacyi, umieją się przecieć bronić od gwałtu niesprawiedliwego, bo ich charakter jest taki, że byłoby niebezpiecznie nad nimi się paścić. Haniebnie ukarany Chińczyk albo-by własnego pana przy pierwszej sposobności zamordował; albo-by wywarł swą zemstę na pierwszym lepszym rodaku tegoż tyrana, bo według jego loiki każde indywiduum białej cery jest odpowiedzialne za grzechy każdego innego ze swych współplemienników; albo też w końcu, nie znalazłszy sposobu do spełnienia vendetty, powiesiłby się skutkiem wstydu i rozpacz. Dlatego ich szanują, że to towar drogi i szkoda go tracić.

Dwory plantacyjne leżą tak daleko jeden od drugiego, że zjazdy i wizyty sąsiedzkie rzadko się w nich powtarzają. Czasem, raz w pół roku, z powodu nadzwyczajnego, zbiera się kilka lub kilkanaście rodzin na zabawę. Rozmowy o tej przyszłej uczcie i przygotowaniu do niej trwają całe tygodnie. Gdy wreszcie dzień szczęśliwy zaświta, panie, wszystkie doskonale jeździć nauczone, puszczają się czwalem przez trzcinowe ostrowy i kaktusowe równiny, a służba konna wiezie za nimi pudła z jedwabiami, z falbanami, krochmalnemi cudami damskiej garderoby i klejnocikami. Wszystko to składa się w całość dopiero na miejscu zabawy, żeby się w drodze nie pomięło i nie zepsuło.

— I macie panie odwagę wracać z takiego bału, trzy godziny jazdy, po nocy? — spytałem raz Kreolkę, mówiącą niezłe pofrancuzku.

— Na co wracać po nocy? Tańczymy zawsze do rana, a licha to zabawa, co dwie doby nie trwa—odparła córka królowej Antyllów, wyszczerzając dwa sznureczki perełek białych.

Powiadają o plantatorach, że są gościnne, dobroczynne, wolne od pretensjonalnej zaręczliwości i grymasów, gosposie wyborne i, jak na Kubę, dobrze edukowane, bo każda się kiedyś w klasztorze czytać i pisać nauczyła; a jeśli te piękne wiadomości wywietrzały, to tylko z braku praktyki, skutkiem życia w miejscach, gdzie książki nie dochodzą, a listów pisać nie potrzeba. Korrespondencya byłaby z wielkimi trudnościami połączone tam, gdzie posłaniec na mułe, w nieregularnych porach, kiedy mu się podoba, administratorowi stare gazety i odwieczne listy przywozi, a potem cierpliwie na odpowiedzi czeka. Są plantacje, do których taki urzędowy list-nosz tylko raz na miesiąc zagląda.

Wieśniaków kubańskich świat zagórski i zamorski bardzo mało obchodzi; żyją zadowoleni z komfortu i z obfitości wspólnej plantacyom. Stół ich ugina się pod przysmakami z *rancha*, czyli własnego ogrodu. Ich brama zawsze dla wszystkich przyjezdnych otwarta. Przy stole nie brak próżnych krzesel dla niespodziewanych gości, a choćby przybył, mówiąc z poetą, i drugi i dziesiąty, to coraz szerzej w plantatora domu. Na dziedzińcu i na pastwiskach żrebee brykają, niezbyt rosłej, nie pięknej, ale łagodnej i wytrwałej rasy krajowej, lekkiej w chodzie, jak kubańska dziewczyna, rozkosznej pod siodłem. Tuzin, a często i więcej osiodłanych koni rży zawsze na niejednej plantacyi u płota, w gotowości do usługi, skoro się panom, paniom lub dzieciom zechce popędzić w pole. Pankowie miłszej rozrywki nie znają nad tę, żeby dosiąść biegunów i polecieć lanem niezmiernym, równym, uprawnym, całym ich własnym, aż po czarny las daleki, aż po granice widnokregu. Objężdżają swe dzierzawy szerokie czwalem, z dumą książką udziałnych. Chyli się trzcina przed wiatrem, a lud czarny przed panami się krzyży i pilniej pracuje pod ich okiem, niż wobec dozorczy, uzbrojonego pałką i rewolwerem, a otoczonego psami. Pokorne jest wejrzenie tego ludu czarnego i śpiew jego melancholijny. Tęskne tony melodyj, wypływa-

jących z parnych ostrowów trzcinowych i z fabryki dymnej, więcej kłiwemu sercu o niedoli tego ludu opowiadają, niżby umyślnie żale i skargi wysłowić mogły. Biada, biada ci, kraino, której robotnik tęsknie nuci nad pracą swoją! Ten lud, które go niedola jest czarniejszą od jego skóry, chyli się po samą ziemię przed panami, do których Boży świat, jak daleko oko sięga, należy—ziemia bogacona, nie nawozem, lecz potem tysiąca niewolników, a rodząca cenniejsze od złota skarby, z tak mało cenionym nakładem.

Na cóż takim panom wielkim i szczęśliwym czytać, pisać, rachować, uczyć się, myśleć...

Wspomniałem o *rancha*. Tak się nazywa ogród plantacyjny, zawsze bardzo daleko od zabudowań schowany, żeby go Murzyni nie okradali i nie otrząsali. Tam, w zaciszu, nad ruczajem, rodzą się owoce, warzywa i kwiaty dla państwa. Tam kwitną i płoną pomarańcze tak słodkie, że szczery Kubańczyk, podróżując, nigdy pomarańczę z innego kraju do ust nie weźmie. Ananasy walają się po ziemi, jak u nas ogórki. Wszystkie rodzaje rozkosznych, podzwrotnikowych owoców, u nas nawet z imienia nieznanych, i krzewów i kwiatów cudnych—bujają w cieniu palm kokosowych i drzew kawy. Jest i pasieka nad strumieniem. Żywopłoty są tam z róż kwitających uplecione. Słowem, *rancha* jest sobie małym rajem, a Kreole powiadają o nim, że gdy Wszchemocny niszczył Eden, to pierwszym ludziom zeń cokolwiek nasion wziąć pozwolił, ażeby mniejsze, podobne ogrody w Kubie pozakładać mogli.

Życie obfite i regularne, ruch konny częsty, apetyt zaostarzający, i wolność od troski, sprzyjają długoletności i chowaniu się licznej, zdrowej dźwignoty. Rodziny administratorów wyglądają patryarchalnie, ze swemi trzema zdrowymi pokoleniami.

Wprawdzie żółta febra, mór straszny i zdradziecki, zawiewając na piękną wyspę, niewiedzieć żkąd i dlaczego, dziesiątkuje czasem jej ludność, ale pomimo tej choroby epidemicznej, mnóstwo się starców spotyka, którzy dawno siedmiesięcioletnią, rzekomo normalną, granicę życia ludzkiego przebyli. Choroby, tyle krótkich nici życia u nas przecinające, są nieznane między narodem dumnym z liczby obywateli matuzalowe lata żyjących. Pokazano mi raz staruszka przeszło 90-letniego, który zwykły był powtarzać, że przy pomocy Bożej—czerstwej starości dożyć się spodziewał, bo czuł się jeszcze młodym na ciele i umyśle. Chwacki ten „jeszcze młody“, mający prawniki, miał zwyczaj odwiedzać konno parę razy w tydzień swą zamezną wnucę, na odległym o mil kilka folwarczku, a zawsze z takiej wizyty tegosamego wieczora wracał. W młodości służył w konnej żandarmeryi i lubiał opowiadać płynnie, z pamięcią trafną, o awanturach przed półwiekiem z okładem doznanych, w bagnach i gęstwinach podzwrotnikowych, w legowiskach zbójców i zbiegłych desperackich Murzynów.

Nigdy niezapomnianym jest wieczór na plantacyi kubańskiej. Fotografia jednej takiej sceny, pełnej uroku i poezji, nigdy w mej pamięci nie zblednie. Siedzieliśmy na ganku. Światło kilku wiszących, kolorowych, chwianych zefirem, latarni, rysowało wyraźnie kontury każdej osoby w towarzystwie. Starcy rozłożyli się na wygodnych, skórą wybitych fotelach, delektując się cygarami i widokiem potemstwa. Kilku panów grało w karty w przedpokoju, popijając chłodzące napoje. Cicha matrona, z uśmiechem zadowolenia na gładkiej jeszcze twarzy, kołysała się we drzwiach, na biegunowym fotelu, po pracy dziennej odpoczywając. Panny, szczebiotliwe, figlarne, z twarzami rozpromienionymi wspomnieniem niedawnej zabawy w sąsiedztwie, spłotłszy ramiona i opasawszy okrągłe kibicie siostrzyczek, spacerowały po długiej, szerokiej werendzie, nucąc słodką, łatwą aryą i szeleszcząc ogoniastemi sukniemi. Ich stroje były zrobione z cennej, lekkiej materji z elegancją i kokieteryą kreolską. Żadne kobiety na świecie, Amerykanek nie wyjmując, nie wydają tyle na suknie, ile Kubanki; żadnym lepiej nie pasują do figur kształtnych i do twarzy mody terażniejszej, obcisłej. Lube wnuczátko, z długimi loczkami czarnymi i z czułością w oczach, opierało się o fotel dziadunia; ale raptem go opuściła i skoczyła na podwórze, w swywolnej pogoni za

*eneullo*, to jest wielką, świetlaną ćmą kubańską, którą pojmawszy we włosy zatknę, albo do stanićka przypnie, jako żywy, promienny, jaśniejszy od złota i brylantów klejnot.

— Ile tam komfortu, ile szczęścia!

A na przeciwnej stronie podwórze obraz innego rodzaju — odwrotna strona medalu życia na Kubie przedstawiającego. Tam buchają i strzelają z olbrzymiej cukrowni piekielne płomienie, oświetlające płaskie, kroplami potu opływające oblizca, pełne wyrazu znużenia, smutku, trwogi. W lunie purpurowej chylą się, chylą i stękają czarne ciała, pracujące i drżące, dzień i noc, bez ulgi, bez wytchnienia, bez chwilk szczęścia terażniejszego, bez nadziei szczęścia przyszłego.

Niedarmo cięży klątwa ciemnoty, zabobonu i hiszpańskiego despotyzmu nad perłą i królową Antyllów, obstającą uparcie, przy tem, ażeby dwa tak sprzeczne obrazy zawsze obok siebie istniały, i niepomne nauk historyi! Wierzę tak głęboko w Nemesis, iżbym się zgłębił, gdybym w jutrzejszej gazecie przeczytał, że skutkiem nadzwyczajnego kataklizmu w przyrodzie ocean wyspę rozkoszną tak nagle pochłoniął, jak ja ucinam mój odczyt.

## WIADOMOŚCI

### Literackie, artystyczne i naukowe:

— Nauki przyrodnicze doczekały się u nas wydawnictwa pomnikowego, — doczekały się go w Warszawie, gdzie stosunkowo mniej są rozwinięte niż w Krakowie i Lwowie, które dają im na usługi odpowiednie instytucje, w duchu potrzeb społeczeństwa prowadzone. Tem wydawnictwem, którem Warszawa dwa inne ogniska naszego ruchu umysłowego zawstydza, jest *Pamiętnik Fizyogograficzny* wydawany staraniem E. Dziwulskiego i Br. Znatowicza. T. I, 16 tablic rysunków, Warszawa druk Kowalewskiego, 1881<sup>4</sup>. 1 k. nłb. str. VI, 2 k. nłb. do 463 i 2 podwójne. 8-o max. — Wyraz „wydawany“ objaśnia, że, stosownie do zapowiedzi w końcu zeszłego roku, *Pamiętnik* jest publikacją ciągłą, ukazującą się w pewnych odstępach czasu. Wyszedł obecnie tom zawierający 5 działów: Meteorologią i hydrografią, Geologią z chemią, Botaniką i Zoologią, Antropologią, Miscellanea. Z wyjątkiem czterech prac teoretycznych lub informacyjnych wszystkie inne odnoszą się do naszego kraju; opisują naturę i życie nasze, a nawet trzy z pomiedzy wyjątkowych mają cel praktyczny: zachęcenie do badania natury ojczyznej. Samo tylko wymienienie tytułów 32 artykułów zamieszczonych w dziele mogłoby już żywo zająć i do odczytania zachęcić; każdy znajdzie w *Pamiętniku* coś, co zrozumie i co pragnienie jego umysłu zaspokoi. Treść poważna łączy się z bardzo dostępnym wykładem; ponieważ jednak dzieło to nie jest utworem nadobnym, rzecz oczywista zatem: nie można go brać do ręki tak, jak się bierze powieść lub poezję, a choćby nawet jakieś opowiadanie z przeszłości. Wydawcy starali się książkę swoją uczynić zbiorem prac poważnych, mających znaczenie dla nauki; autorowie nie są dyletantami; artykuły wymagają w czytelnikach umysłów jakotako uprawionych pod zasiew przyrodoznawstwa: na szerokie koło czytelników u nas *Pamiętnik* liczyć nie może.

Następujący pracownicy dostarczyli artykułów do zbioru: Choroszewski Wincenty, Dudrewicz Leon, Filipowicz, Glogier Zygmunt, Jędrzejewicz, Karłowicz Jan, Karo Ferdynand, Kontkiewicz Stanisław, Kowalczyk Jan, Łapczyński Kazimierz, Luniewski Tymoteusz, Nussbaum Józef, Słowikowski Józef, Pawlewski Bronisław, Pusch (tlóm. B. Reichman), Słóarski Antoni, Trejdosiewicz Jan, Tymieniecki Seweryn, Wałecki Antoni, Wrześniowski August.

Pod czterema pracami spotykamy nazwiska samych redaktorów.

W dziele fizyograficznym, a więc przyrodoznaw-

czem, spodziewaliśmy się więcej nieco antropologii ze stanowiska przyrodoznawstwa, takiej, jaką dawał nieodżałowany Broca, jaką dają u Niemców bardziej nam znani Virchow i Vogt; tymczasem spotkaliśmy dwa tylko niewielkie artykułki właściwie antropologiczne, D-ra Dudrewicza: *O czaszkach z Marienhausu* (w Inflantach) i *O czaszce z Salwonki* (na Ukrainie). Inne artykuły tego działu właściwsiemi byłyby w dziele archeologicznem.

W dziale trzecim dowiadujemy się od p. Wrześniowskiego o odkryciu nowego rodzaju i nowego gatunku Amphipodów w okolicach Warszawy. Nowy ten skorupiak obunogi, odkryty przez p. W., nosi nazwę *Goplana polonica*.

Do działu antropologii p. Karłowicz Jan, znany z drobnych, ale sumiennych badań lingwistycznych i archeologicznych, dał rzecz *O imieniu Polaków i Polski*—w kronikach, w pisarzach, w ustach ludu różnych prowincyj i za granicą, w literaturze i w życiu. W tej starannej pracy spotykamy ciekawe wskazówki i przypomnienia rzeczy dawnych. Co do słynnego siódmego przypadku „w Polsce“ którego sobie do Trzydziestego Roku nieżałowano, stawia p. Karłowicz niebezpieczny domysł: azali forma ta nie jest następstwem starożyteckiej pisowni *sz, cz* w miejsce *s i z*? Mniej trafną wydaje nam się druga hipoteza, że może wstręt do „mazurzenia“ w mowie wywołał formę *Polszcze*. Pan Karłowicz twierdzi, że się dawny „dobr“, przymiotnik formy rzeczownikowej, odmieniał jak „bóbr“ w trzecim przypadku: „bobru“: przykład wybrany nietrafnie, gdyż „bóbr“ ma w trzecim przypadku „bobrowi“, a nie „bobru“.

W całym wydawnictwie widać ojcowską pieczołowitość, prawdziwie naukową powagę i staranność. Poraz pierwszy może w książce przyrodoznawczej polskiej, spotykamy tak znaczną liczbę zastosowanych do tekstu i dokładnie objaśniających go tablic: zazwyczaj brało się wyobrażenia graficzne i plastyczne z zagranicy i do nich dopasowywało tekst.

Jeżeli *Pamiętnik* utrzyma się na dzisiejszej wysokości, choćby przez lat dziesiątek, stanie się nieoszacowanym materiałem dla wiedzy o przyrodzie naszego kraju i już po paru latach wytrwania na dziś obranej drodze będzie się mógł uważać za wydawnictwo akademickie, zaiste, godniejsze wysokiego patronatu Akademii Umiejętności, niż wiele książek pod tarczą jej imienia dziś wychodzących.

Poieważ wiedza o przyrodzie jest z istoty swej kosmopolityczną i chce być *jedną*, jak *jedną* jest natura, słusznie zatem, w poczuciu poważnego stanowiska, jakie zajmie czasem *Pamiętnik*, redaktorowie jego w końcu książki podali spis tytułów w języku francuzkim. Niejeden uczony cudzoziemiec, znalazłszy to, co go zajmuje, postara się o przekład i w ten sposób prace przyrodoznawców naszych, o kraju naszym, nie będą dla nauki powszechnej zmarnowane lub zmuszone czekać na zmiłowanie się jakiegoś korespondenta dziennikarskiego albo sekretarza akademii zagranicznej.

Niektóre tytuły nad tablicami i objaśnienia wyobrażeń rysunkowych również podane są po francuzku. Szata dzieła odpowiada jego dostojności: pod względem czysto-technicznym i handlowym pierwszy tom *Pamiętnika* jest piękną książką. Wcale staranne litografie, niektóre kolorowane, wykonano w zakładzie warszawskim p. Głowczewskiego. Szczególniej Tablica IX, wyobrażająca mięczaki, na odznaczenie zasługuje. Trzy mapy: całego Królestwa, Pińszczyzny, Liwca, jakkolwiek nie-trudne do wykonania, zalecają się jednostajnością rysów i pisma, oraz starannem prowadzeniem linii rzecznych.

— Zapowiedzianego przed rokiem *wydawnictwa p. Orzeszkowej* w Wilnie mamy już tomów i tomików czternaście. Oprócz wymienionych w pierwodnych odezwach, a wchodzących w skład seryi I, do całego ciągu książek kolejnym opatrzonym numerem wydawczyni dołączyła jeszcze: własne studium *Fatryotyzm i Kosmopolityzm* i małe scenę z życia dwóch braci: „*Pokociło się*“ i „*Dam nogę*“ (dIALOGOWANE); p. E. Jankowskiego *Wady naszych sadów*; panny Kościalkowskiej *Władystaw Syrokomla* i pana Chmielowskiego *Poezja w wychowaniu* (odczyt na wiosnę r. b. wygłoszony w Warszawie). Prenumeratorowie seryi I właściwego wydawnictwa dzieł użytecznych, podjętego przez p. Orzeszkową, niedługo na dokończenie jej czekać będą, wydawczyni bowiem chwalebna rozwija energią. W chwili kiedy to piszemy, braknie jeszcze tylko czterech książek do liczby 12 zapowiedzianych, a z tych dwie przez same nazwiska autorów i tytuły swoje żywsze wzbudzają zajęcie. Któżby nie chciał przeczytać Jeża: *O współnictwie, z życia i natury*, lub p. Chmielowskiego: „*Obskurantyzm i liberalizm na Litwie i Rusi*—szkice z dziejów walki o światło“?

Prasa codzienna dość żywo zajmuje się wydawnictwami p. Orzeszkowej; gdy mówimy „dość“, mówimy zamało: niekiedy bowiem zajmuje się bardzo żywo. Tak na przykład *Z przeszłości* pani Konopnickiej (trzy fragmenty dramatyczne: *Hypatia*, *Vesalbus* i *Gallileusz*) dostały się aż pod szkło powiększające a nóż dobrze wyostrzony *Przeglądu katolickiego*—co wiele już znaczy, bo tygodnik ten czysto-literackiej krytyki i polemiki nie zwykł prowadzić. O *Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu* (do r. 1880) toczy się formalna walka. Cięższe i lżejsze krytyki posypały się na książkę, ale książka jakoś jeszcze się trzyma i nie zdołano jej wyświecić z grodu literatury poważnej i uczciwej. *Zarys* wistocie nie jest takim, jakiego się spodziewano, ale też i krytyka dotychczas nie okazała się taką, do jakiej dziełko p. Chmielowskiego, a bardziej jeszcze: zajmujący i ważny jego przedmiot miał prawo. Najpoważniejsze zdanie wyczytaliśmy w *Bibl. Warszawskiej*. Najgłośniejszą—o, bardzo szeroco rozgłosną—była napisana zaraz po ukazaniu się książki *Tendencyjność i krytyka*, wielce tendencyjny a mało krytyczny szereg felietonów w *Kuryerze Warszawskim*, wyszłych zpod pióra nowego zupełnie w literaturze naszej pisarza, p. Adama Goraja. Felietony ukazały się w osobnej książeczce: lepiej byłoby może dla nich, gdyby były zatonęły nazawsze w tajemniczych głębiach dziennikarstwa.

Wydawnictwom p. Orzeszkowej życzyć trzeba, najpierw tego, żeby były dobre, potem tego, żeby były czytane. Energia wydawczyni, raczej obywatelskiem niż spekulacyjnym duchem natchniona, zasługuje na nagrodę; ale jest względnie jeszcze ważniejszy: przedsięwzięcie wydawnicze, prowadzone w Wilnie ma przez to samo tak wielkie znaczenie, iż rozwój jego niepomysłny boleśnie zaświadczyłby o nieudolności jednych lub obojętności drugich. Chcemy i potrzebujemy wogóle książek dobrych, ale chcemy ich i potrzebujemy najbardziej tam, gdzie sprawa ruchu umysłowego jest sprawą życia. Każda księgarnia wydawnicza, prowadzona energicznie i rozumnie, staje się z biegiem czasu jednym z ognisk życia społecznego. Znamy wszystkie trudności zadania, jakie ma przed sobą p. Orzeszkowa; wiemy o jej gotowości nawet do bezpowrotnego poświęcenia pewnej części majątku na wydawnictwa; uznajemy to, że nie od niej samej wartość dzieł wydawanych zależy: ale pomimo to wszystko nie możemy nie zalecić pilniejszej niż dotychczas uwagi przy wybieraniu utworów do druku. Taka praca, jak *Włóścianie u nas i gdzieindziej*, nie powinna się

była znaleźć w zbiorze poważnym, mającym krzewić prawdę i istotnie oświecać i kształcić umysły. Z piśmiennictwa pięknego tylko utwory rzeczywiście piękne do zbioru przyjmować-by należało. Myśl opisywania i roztrząsania wydarzeń, stanów i stosunków życia, nauki, sztuki i literatury w małych traktatach, rozprawach czy zarysach jest bardzo dobra. Oświata powszechniejsza tą drogą najłatwiej do umysłów wchodzi i umysły te w ruchu utrzymuje. Drobnoszytowe wydawnictwo Virchowa i Holtendorffa prawdziwie dobrze już zasłużyło się Niemcom: przynosi im bowiem od lat dwudziestu tę średnią przeciętną oświatę, której posiadanie niezbędnem jest dla utrzymania społeczeństwa nad poziomem prostego tylko trwania, bez ruchu bez postępu, bez życia. Czemu podobnym powinny się stać wydawnictwo p. Orzeszkowej.

Tym, którzy zarzucali książkom wydawanym przez p. Orzeszkową pozytywizm t. j. małoduszną trzeźwość poglądów, radzimy odczytać *Patryotyzm i kosmopolityzm*, gdzie wprawdzie myśl nie znajduje wzniosłości, ale z kądy wyniesie pokrzepienie, pewną rozumową, w życiu niezbędną, podstawę dla uczuć. A *Poezja w wychowaniu* p. Chmielowskiego? Czy i ta rozprawka może wypcha ludzi w bagnisko praktycznego pozytywizmu? Czyż najzaciętszy nawet idealista nie przyzna, że autor jej rozum i serce, w górę, ku Idealom, zwraca. Poglądy estetyczno-społeczne p. Spasowicza ulegają krytyce; ale doświadczenie samo przekonało, że nie mają w sobie nic rozburzającego. Nie jest również i idealistycznie bezbożną rozprawka pana *Skórkowskiego* z Medowatej, rzewnie poświęcona pamięci utraconego syna: *Choroby duszy i odpowiedzialność moralna*. Wiecie jakie lekarstwo na choroby duszy zaleca pozytywistyczny autor pozytywistycznego wydawnictwa? Panowanie nad sobą, rozum, wolę, to, co człowieka *duchem* czyni. Uznaje on i szanuje odpowiedzialność moralną, a mózg uważa tylko za podścielisko, za narząd ducha. Jasno, zwięźle wyłożone wiadomości naukowe o działalności mózgu zarówno pozytywiście jak i idealistycznie dadzą to, czego może przedtem nie wiedział. I niekoniecznie też pesymistą być potrzebuje ten, kto widząc całą wspaniałość, ale czując przytem i całą nędzę świata, i własną swą niedoskonałością trapiiony, wraz z autorem powtórzy sobie w głębi ducha słowa Tocqueville'a: „Jest coś w świecie, co więcej znaczy niż rozkosze materialne, więcej niż los, więcej nawet niż zdrowie: poświęcenie się nauce!“

Książki zaliczone do seryi I stałego wydawnictwa liczą ogółem sto arkuszy druku; wydane poza seryą obejmują do dwudziestu siedmiu. Obie kategorie wychodzą z drukarni Blumowicza; druk dobry, ale korekta niedość jeszcze wprawna. Format średniej ósemki.

## ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Pani Z. w *Kopaniu*. Z proponowanego przekładu powieści Collinsa skorzystać nie możemy.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszczu*“ dołącza się arkusz 9-ty powieści pod tyt.: *Róża wśród cierni*.

Ogłoszenia do **BLUSZCZU** przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy **BERNARDA BERSOHN** w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

**TRĘŚĆ.** Rzut oka na stowarzyszenia rzemieślnicze. — Miłość czy Rachuba? powieść, (dalszy ciąg), przez El-em. — Przegląd artystyczny, przez Bronisława Zawadzkiego. — **Korespondencya zagraniczna**, Lwów. — Ruch muzyczny, (dokończenie), przez Jana Kleczyńskiego. — Życie pod zwrotnikiem, (dokończenie), przez Sygurda Wiśniowskiego. — **Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.**



# RÓŻA WŚRÓD CIERNI

POWIEŚĆ

przez autorkę „Stefana Lawrence“

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

— Rozumiem to zupełnie — odparła Eleonora — a nie widzę w czem jesteś tak godnym nagany. Zdrowi muszą być pobłażliwi dla chorych. Ach! czemuż nie ma już Adryana! On cię tak ciężko żałował.

Ciągle trzymając jej ręce w czułym uścisku, zaprowadził ją do ławki.

— Mów mi o nim Eleonoro — rzekł. — Serce mi pękało z żalu, gdy Floryna powiedziała mi że go już nie ma...

— Widziałeś więc już Florynę — zawołała Eleonora.

— Tak — odparł spokojnie — ale teraz o niej mówić nie będziemy. Chcę najpierw usłyszeć o Adryanie. Jak on umarł?

Opowiedziała mu wszystko, a żal jego się podwoił, słysząc szczegóły tej nagłej i okrutnej śmierci.

— To okropne! — wyszeptał. — I to tak niedawno! Gdybym go był mógł raz jeszcze zobaczyć! O Eleonoro, jakież cios spotyka mnie na progu rodzinnego domu.

Potem pytał się o szczegóły majątkowe i o wszystko co zaszło podczas jego niebytności, a Eleonora, obdarzona doskonałą pamięcią uwiadomiła go o wszystkim. Opowiadał jej dalej o swoich podróżach, o poszukiwaniach zaginionego przyjaciela, o przybyciu do Indyi, a nakoniec o powrocie do Clydesdale.

— Wygląda to, jak powieść, Rupercie — rzekła Eleonora.

— Wszystkoby jak sen przeszło — odparł, — gdyby nie śmierć Adryana. Nie wiedziałem ile go kochał, póki nie usłyszałem, że go już nie ma. Ale Eleonoro, powiedz mi co rzeczywiście przywidło tu kapitana Archer?

— Czyż nie jest on twoim przyjacielem? — spytała czyniąc wielkie wysilenie, aby nie zdradzić prawdy.

Wtedy słowa kapitana przyszły Rupertowi na pamięć. Przypomniał sobie, że chcąc zachować dobre imię żony, nie może przeczyć temu, co tu mówiła.

— Znałem go w Lahorze — rzekł poważnie.

— Co to jest? co się stało? — zawołał nagle sir Rupert, widząc ludzi biegnących przez trawniki. — Ależ Eleonoro to wszyscy starzy słudzy naszego domu!...

Za chwilę, gdy się podniósł z ławki, otoczył go orszak ludzi drżących z radości.

— Niech cię Bóg błogosławi, sir Rupercie! Witaj nam! — wyrывało się z każdych ust.

Sir Rupert przemówił serdecznie i dziękując za

okazaną życzliwość, opowiedział jak cudownie powrócił do zdrowia. Był wzruszony i ucieszony ich powitaniem. Do Floryny, która nadeszła i stała smutna, jakgdyby nieśmiała na stronie zwrócił się z łagodną wymówką.

— Są wiecej ucieszeni moim powrotem, niż ty byłaś Floryno, rzekł.

— Nie przestraszyli się — odparła — wiedzieli że tu jesteś.

Kilkoma przyjaznymi słowy pożegnał ich i został wkrótce z Floryną tylko i Eleonorą.

— Floryno — rzekł wtedy nie widziałem jeszcze syna. Czy podobny do mnie?

— Nie — odrzekła cicho — nie zdaje mi się.

— O ile pamiętam, mówiłaś kiedy był malutki, że do mnie podobny.

— Wtedy było większe podobieństwo, jak teraz — odparła — czy mam go przyprowadzić ci, Rupercie?

— Tak, jeśli chcesz, Floryno. Tęskno mi za widokiem mego syna. Obdarłem go z tytułu, już teraz nie jest sir Alfredem.

— Dzięki niebu! — zawołała Eleonora.

Floryna odeszła, nie rzekłszy słowa. Sir Rupert spojrział w piękną, bladą twarz tej, która została przy nim i rzekł — Noro, używając skrócenia którym ją Adryan nazywał: — byłaś dla mnie od dawna siostrą, tak jak Adryan był mi bratem, z tobą więc mogę być szczery. Wszak prawda, że moja żona nie rada z mego powrotu.

W duchu Eleonora przyznała mu słusność, ale jej pocziwe serce, dążyło zawsze do pojednania i łagodzenia cierpień.

— Musisz jej przebaczyć — rzekła. — Jest słabą i nerwową istotą. Pamiętaj że powróciłeś do niej jakgdyby z tamtego świata.

— Zdaje się też obawiać mnie dotąd — odparł — ale przecież nie ma powodu. Przykro mi jest pomyśleć, że unieszczęśliwiam Florynę moim powrotem.

Eleonora ułagodziła go mówiąc o synu, a zauważywszy: że go to żywo zajmuje opowiadała mu szczegóły o przywiązaniu Adryana do niego, o wesołości i dowcipie dziecka i wyrażała swoje zdanie o sposobie jego wychowania.

— Nie mogę sobie wystawić, Noro, że tu z tobą naprawdę siedzę. Ciężko mi padać. Leżąc tam, tak gorąco pragnęłam cię widzieć, tak błagałam nieba o twoją obecność, że gdybyś była wyszła wtedy z pomiędzy drzew, nie byłoby mnie to zadziwiło. Teraz kiedy jestem z tobą, nie mogę temu uwierzyć. O Noro moja! zadanie moje zostało spełnione i widzę cię znowu! Chcę ci jeszcze jedno powiedzieć. Gdy pisałem do ciebie, sądziłem się na progu śmierci, inaczey nigdy nie byłbym napisał tych słów... gorących. Czulem się bratem Adryana całe życie i nigdy bym ci nie wspomniał o mej miłości, gdybym nie myślał, że mój duch wkrótce uleci. Czy zapomnisz o tem, Noro?

— Zapomnę, Rupercie.

— I miłość między nami będzie szlachetną względem żywych i umarłych taką, jaką zawsze była?

— Tak, Rupercie, będzie to uczucie słodkie, głębokie i czyste — odparła.

Jakąż ogromną walkę stoczyć musiał, dotykając przedmiotu, który jednak nie mógł zostać pominiętym. Miłość dla niej wypędziła go z domu; żal po jej stracie zagnał go w odległe pustynie, gdzie szukał ucieczki przed myślą, która go dręczyła; miłość dla niej nie dała mu umrzeć spokojnie. A teraz była wolną, i piękniejszą niż kiedykolwiek, musiał jednak zwalczyć uczucie, budzące się na nowo w jego sercu. Przyrzekł so-

bie że tak, jak ją uważał, kiedy była żoną Adryana uważać będzie wdową po nim. Czuł że dla niego już niema szczęścia na ziemi, ale były obowiązki, opieka nad majątkiem i miał przecie syna. Któż może powiedzieć że nie ma celu w życiu, jeżeli ma dziecko do kochania? Sir Rupert podniósł piękną swą twarz ku niebu, jakby ztamtąd szukał pomocy i na kilka chwil zapanowała mileżenie. Eleonora pierwsza je przerwała.

— Musisz być znużony podróżami i z przyjemnością odpoczniesz w domu — rzekła.

— Tęskniłem za domem — odparł — i nie myślę abym tak prędko go opuścił. Muszę skłonić Florynę abyśmy spokojnie się tu osiedlili na resztę życia.

— Nie będziesz miał w tem trudności, bo Floryna lubi Clydesdale.

Sir Rupert rozjaśnił czoło.

— Jakże mnie to cieszy — odparł. — Ale czemu tak długo Alfredka nie widać?

— Muszą go wprzód znaleźć — rzekła Nora z uśmiechem. Wielki jest figlarz i cieszy go, gdy się schowa, skoro go szukają. Cicho, słyszę głos jego, ucieka pewno od Floryny.

## ROZDZIAŁ XXXII.

Uwolniona od przykrojonej dla siebie obecności meża, Lady Clyde pospieszyła do domu. Któs spotkawszy ją mógłby się był przestraszyć jej bladej twarzy i dzikiego wzroku. Przebiegłszy prędko sieni i schody otworzyła drzwi do pokoju Lady Leestone i zawałała gwałtownie.

— Klaro — wiesz co się stało?

— Nie — odrzekła Lady Leestone — ale dla czego jesteś tak wzruszona, Floryno? Słyszałam jakieś okrzyki, ale nie uważałam na nie. Co mogło cię tak przerazić, drżysz cała!

— Pragnęłabym umrzeć — załkała Floryna. Co ja zrobię?

— Jeżeli mi powiesz co się stało, może będę mogła ci pomóc; te nerwowe szloch nie nigdy nie poradziły.

— Klaro, boję się przestraszyć cię, choć jesteś odważną. Nie mogę wymówić. Któs powrócił, któregośmy mieli za umarłego.

Lady Leestone stanęła z wyrazem przerażenia na twarzy.

— Co mówisz, Floryno? Przecie nie sir Rupert?

— Tak, Rupert! Pomyśl o tem, Klaro, zastanów się jeśli możesz! Rupert wrócił zdrow i żywy!

Lady Leestone zbładła równie jak siostra.

— Co mamy robić? Wielkie nieba! Co mamy robić — zawołała.

— O Klaro! chciałabym się była nie rodzić! Wszystko mnie przesładuje! Co się ze mną stanie?

— Czy nie żartujesz, Floryno? — spytała Lady Leestone z błagalnym wejrzeniem.

— Jakżeby mogła tak żartować? Jestto rzeczywistość, Klaro! Byłam w parku, rozmawiając z Karolem, kiedy nagle stanął przed nami. Padłam bez zmysłów.

— Nie dziwię się temu — odparła Lady Leestone z dreszczem. Rupert żywy! nie mogę temu

uwierzyć, ale jeśli pamiętasz, mówiłam w Lahorze, że dowody jego śmierci wcale nie są pewne. Otrząśnij się Floryno, jeszcze wszystko nie stracone, przezwalczysz tę chwilę szczęśliwie.

— Nigdy — zakłama Floryna — to rzecz niemożliwa. Właśnie posłałam mnie po dziecko. Nie śmiem go zanieść, nie mam do tego siły! Upadłabym zemdlona. O Klaro, siostrze moja, musisz mi pomóc, musisz iść za mnie.

— Ale to będzie dziwnie wyglądało! — odparła Lady Leestone. — Będzie się spodziewało, że ty mu syna przyprowadzisz.

— Nie mogę, mówię ci! Nie mam siły! O pomóż mi Klaro! — Floryna padła prawie zemdlona do nóg siostry.

Lady Leestone pochyliła się i podniosła ją.

— Floryno, moja droga, to nie nie pomoże — rzekła poważnie. — Zdradzisz się sama. Uspokój się, a wszystko dobrze pójdzie.

Ale blada, drżąca Floryna ciągle płakała.

— Zrobię co tylko chcesz, ale tylko zapanuj nad sobą, prosiła Lady Leestone. — Usiądź i odpocznij nim wrócę i powiem ci, że wszystko dobrze poszło.

— Umrę ze strachu, skoro odejdziesz Klaro!

— Nie umrzesz moja droga, śmierć nie przychodzi na zawołanie.

— Ja ci ufam, jesteś dobrą siostrą dla mnie, Klaro. Ale wolałabym abyśmy nigdy nie były...

Lady Leestone położyła rękę na białych ustach.

— Nie bądź słabą, Floryno — rzekła — nic nie ma jeszcze straconego. Zdaż wszystko na mnie.

Pocałowała zimną twarz i odeszła.

— Ze wszystkich dziwnych rzeczy, które się mogły wydarzyć to jest najdziwniejsze — myślała. — Ach gdybyśmy były wiedziały — gdyby można było powiedzieć — coby nam to było troszkę oszczędziło!

Poszła do dzieciennego pokoju, gdzie zastała Brunton w stanie najwyższej trwogi i niepokoju.

— O mylady, czy to prawda? — spytała. — Powiadają że sir Rupert powrócił.

— Zupełna prawda i bardzo się z tego cieszę — odrzekła mylady poważnie.

— O mylady, to mnie dreszczem przejmuj! Boję się pokazać.

— Nie rób niedorzeczności — rzekła Lady Leestone. — Gdzie jest dziecko?

— Bawi się tam — odparła Brunton, wskazując ręką na przyległy pokój.

— Ubierz go pani. Zaprowadzę go do sir Ruperta.

— O mylady, mylady, okropnie się boję! — zawołała bona.

— Bądź odważną Brunton — rzekła Lady Leestone nakazująco. — Ubierz dziecko; odeczesz mu włoski z czoła i włóż ten hiszpański kapelusik. Będzie wyglądał jak obrazek i zachwyci sir Ruperta.

Bona zaczęła ubierać dziecko, a Lady Leestone stała, czekając.

— Mylady jest tak silną — rzekła Brunton.

— Szczęście, że nie wszyscy jesteśmy tak bezsilni w chwilach trudnych — odrzekła Klara, biorąc dziecko za rękę i wychodząc z pokoju.

— Alfredku — rzekła — idziesz do tatki, co mu powiesz?

— Tatko umarł i jest w niebie! — zawołał chłopczyk.

— Nie kochanku, tatko przyjechał. Był bardzo chory i wszyscy myśleli że umarł, ale wyzdrowiał i powrócił!

— Jak to dobrze, — zawołał chłopczyk. — Teraz będę miał tatkę.

Szybko idąc przez ogród, Lady Leestone — rzekła do dziecka.

— Czy wiesz że teraz kiedy tatko powrócił, nie będziesz już sir Alfredem?

— Nie chcę być sir Alfredem, wolę mieć tatkę. A czy będzie się bawił ze mną i jeździł konno, jak stryj Adrian?

— Tak; jeszcze będzie lepszym dla ciebie i dla ci wszystko, co zechcesz.

— Za to mu oddam wszystkie zabawki — rzekł malec z wybuchem wdzięczności.

— Musisz być bardzo grzeczny, Alfredku i kochać tatkę. Jak go zobaczysz, skocz mu na szyję i powiedz:

— Witam cię kochany tatku!

— Będę pamiętał — odrzekł chłopiec i powtórzył słowa, jak lekcję.

— Gdzie jest kapitan? — spytał po chwili chłopiec. Bardzo go lubię.

Lady Leestone pokraśniała. Jeżeli dziecko powie coś podobnego sir Rupertowi, nie będzie końca nieprzyjemnościom.

— Alfredku — rzekła — uważaj co ci powiem. Nie lubię kapitana i tatko także go nie lubi, nie mów więc o nim do tatki. Czy będziesz o tem pamiętał?

— Będę ciociu. Muszę pamiętać dwie rzeczy. Powiem. — Witam cię kochany tatku, i nie będę mówił o kapitanie.

Gdy weszli na taras, Alfredek zapytał.

— Gdzie tatko?

Lady Leestone wskazała na grupę drzew na trawniku.

— Widzisz tego wysokiego pana, który rozmawia z ciocią Norą?

Chłopczyk zawołał wesoło.

— Widzę ciocię Norę i bardzo ją Kocham.

— To bardzo dobrze — odparła Lady Leestone, która za nadto bystrą była, aby nie domyślać się uczuć Ruperta dla Eleonory. — Musisz tacie powiedzieć, że Kochasz ciocię Norę — dodała — to mu się bardzo podoba.

— Dobrze — zawołał radośnie Alfredek.

Gdy się zbliżali do drzew zwołnili kroku i zachwiała się prawie.

— Tak pomalutko idziesz, ciociu! — rzekł chłopczyk. — Ręce ci drżą, a twarz masz taką białą, taką dziwną.

— Zdaje ci się Alfredku — odparła schylając się po kwiatek, aby ukryć pomieszenie.

— Teraz biegnij, Alfredku — rzekła puszczając chłopca — tam jest tatko.

## ROZDZIAŁ XXXIII.

Eleonora stojąc pod cieniem wielkich drzew, patrzyła rozpromieniona na dziecko, biegnące przez murawę. Jej różowe usta rozchylały się uśmiechem, a oczy świeciły blaskiem rozrzewnienia. Obok niej piękna ogorzała twarz sir Ruperta wyrażała widoczne wzruszenie.

— Eleonoro — rzekł z uczuciem, — serce bije mi bardzo silnie na myśl, że uściskam znowu moje dziecko. Chłopczyzna był taki mały, kiedy go opuszczał i tak dziwnym mi się to wydaje, że go mam ujrzyć znowu.

Zamilkł, bo miała istotka skacząc przez trawę zbliżała się, a jasne były włoski, oczy świeciły jak dwa dyamenty.

— Tatko! tatko! — zawołał dzwiczny głosik.

Sir Rupert otworzył ramiona, a dziecko rzuciło mu się na szyję.

— Witam cię tatku kochany! — zawołało.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której sir

Rupert tulił namiętnie syna do piersi; cisza była tak głęboka, że aż przykrą się stawała. — Eleonora patrzyła z uśmiechem na to powitanie, a Lady Leestone odwracała twarz bladą jak listek lilii. Chłopczyk jeszcze raz swe powitanie powtórzył i ojciec wypuścił go z objęcia.

— Dziękuję ci synku kochany, — rzekł pilnie wpatrując się w jego rysy.

Lady Leestone odwróciła się, udając że zrywa kwiaty.

— Wcale nie podobny do tego któregom został — rzekł sir Rupert po uważnym badaniu. — Prawda, Eleonoro, nie ma żadnego rysu Clydów, a gdy był mały, mówiono że do mnie podobny! Nie mogę sobie jednak przypomnieć jego dawnej twarzy.

— Tatku — mówił dzwiczny głosik — myślałem że jesteś w niebie?

Rupert uśmiechnął się i pogłaskał jasną główkę, głos dziecka był słodką dla niego muzyką.

— Czy tam byłeś i przyszedłeś tu znowu? — spytało dziecko.

— Nie, synku. Jak będziesz starszy wytłomaczę ci, jak się to stało. Czy pamiętasz mnie, Alfredku?

— Nie — odparło dziecko — nie pamiętam.

— Czy myślałeś kiedy o mnie? — spytał sir Rupert.

— O myślałem — odrzekł żywo chłopczyk. — Mówili dużo o tacie, zawsze opowiadali, że tatko jest w niebie, myślałem, że tatko wygląda jak malowane aniołki na obrazkach.

Sir Rupert zamyslił się przez chwilę.

— I ty nie jesteś takim, jakim cię wystawiałem sobie, wcale nie podobny do tego chłopca, którego uściskałem ostatni raz w Lahorze. Alfredku czy będziesz mnie kochał?

— O już cię Kocham tatku — zawołał — i ciocię Norę także.

— Kogóż jeszcze Kochasz. Najpierw pewnie mamę.

— Tak, Kocham mamę i Brunton, i tego chłopca w stajni, co daje jeść kucykom; taki ładny, ma taką czerwoną kurtkę. Ale najlepiej w świecie Kocham ciocię Norę.

— To dobrze — rzekł sir Rupert, zdziwiony trochę że Floryna zajmowała nie pierwsze miejsca w sercu dziecka.

— Już nie jestem sir Alfredem, kiedy ty powróciłeś, ale to lepiej, że tu jesteś niż w niebie. Czy będziesz jeździł ze mną konno? — szczebiotało dziecko.

— Tak, będziemy jeździć razem.

Ale choć sir Rupert mówił czule, w sercu czuł jakiś rodzaj zawodu, rozumiał dla czego serce jego zostało zimne i niewzruszone na widok dziecka.

— Dziwi mnie dla czego Floryna nie przyszła sama z dzieckiem — rzekł.

Na te słowa zbliżyła się Lady Leestone, a uściskawszy rękę szwagra rzekła.

— Floryna jest nieco słaba, przestraszyła się i namówiłam ją, aby w cichości ochłonęła ze wzruszenia. Powróć teraz do niej.

— Przykro mi, że jestem powodem przestraszenia — rzekł Rupert z uśmiechem. — Ale nie moja to wina, że nie mogłem umrzeć.

Nie odpowiedziała uśmiechem na uśmiech szwagra.

— Powinieneś być sir Rupercie zawiadomić ją o swoim wyzdrowieniu.

— Tak, wiem to — odparł sir Rupert. — Ale byłem długo osłabiony, i jak martwy, okoliczności były przykre. Straciłem towarzysza i przyjaciela w sposób tajemniczy, potem, gdy poszukiwania go nie przyniosły żadnego skutku, znów zachorowałem. Czuję się przecież winnym i chcę przeprosić Florynę, ale gdzież jest?

Lady Leestone pospieszyła do siostry, wiedzia-

ła w jakiej śmiertelnej trwodze ją zostawiła. Lekko zapukawszy weszła do jej pokoju i przeraziła się ujrawszy bladą, dziką twarz Floryny. Zarzłowała drzwiami za nią.

— Teraz mów prędko — zawołała. — Nie trzymaj mnie w zawieszaniu! Czy wszystko dobrze?

— Jak najlepiej, uspokój się tylko! Teraz obmyj twarz i upiększ się jak możesz, sir Rupert pyta się o ciebie.

— Nie mogę do niego iść — rzekła drżąca jeszcze Floryna.

— Co za niedorzeczność, Floryno. Już przeszłaś najgorsze chwile, ubierz się i pójdziemy razem.

Lady Leestone wiedziała, jak działać na uczucia siostry i dodała!

— Eleonora jest tam przy nim, a w swej długiej, krepowej sukni wygląda jak malowidło. Włóż więc coś ładnego na siebie. Gdzie jest ta piękna zarzutka z hiszpańskiej koronki?

Nie omyliła się. Za chwilę uwaga Lady Leestone była zajęta ubraniem.

— Czy znajdujesz, że mi w niej dobrze? — spytała żywo. — Co mówił o dziecku?

— Uszczęśliwiony był jego widokiem, zauważył tylko, że się zmienił rosnąc i myślę, że mu przykrą jest ta zmiana, brak rodzinnego podobieństwa. — Teraz dobrze, mam znowu rumieńce, a jak dobrze wyglądasz w tej zarzutce! Umysłnie widać dla ciebie była robiona.

Nie często Lady Leestone zniżala się do schlebiania słabostkom siostry, ale w tej chwili miała powód do tego.

Obie siostry udały się do ogrodu, gdzie tymczasem Eleonora, chwaliła chłopca przed ojcem.

— Wygląda jak książętko — mówiła. — Wszyscy go tu kochają. Będziesz dumny ze swego następcy, Rupercie.

Ale on coraz był smutniejszy.

— Nie mogę ci tego wytłomaczyć, Noro — ale serce moje nie rwie się do dziecka.

— Tak długo byłeś od niego oddalony — odparła Eleonora — za parę dni będzie inaczej.

— Muszę mieć bardzo zimne serce, skoro je nawet miłość dla syna nie wzruszy. Doznaję dziwnego uczucia zawodu i straty. — Ale oto idzie Floryna.

Postąpił kilka kroków na spotkanie żony.

— Moja droga Floryno — rzekł — powinnaś była sama mi dziecko przyprowadzić. Byłoby dla mnie przyjemnym razem was zobaczyć.

Floryna wyciągnęła ręce, a dziecko przybiegłszy do niej, zarzuciło ręce na jej szyję, całując ją.

Sir Rupert patrzył na to, czyniąc sobie wyrzuty, że serce jego nie rwało się do nich. Dla czego tyle piszą o głosie natury i przywiązaniu ojcowskiem, a jego serce zimne, jak głaz i nie zadrdzy nawet?

Eleonora oddaliła się tymczasem, sądząc że mąż i żona, po tak długiej rozłące, mają sobie wiele do powiedzenia. Nie przeczuwała, jak oczy sir Ruperta namiętnie ją ściagały, ani jak Floryna pragnęła, aby ona pozostać mogła i nie zostawiała ją sam na sam z Rupertem!

## ROZDZIAŁ XXXIV.

Wiadomość o powrocie sir Ruperta rozeszła się lotem błyskawicy. Nazajutrz po jego przybyciu cała okolica zjawiała się na powitanie. Powóz z powozem od rana zajeżdżał przed zamek; — bo-

gaci i ubodzy spieszyli z powitaniem tego, który był tak kochany ogólnie, a którego zgon już oplakali.

Kapitan Archer zjawił się także między innymi, a sir Rupert przyjął go uprzejmie ze względu na żonę. Był grzeczny, jak tego wymagało jego stanowisko gospodarza domu, ale zimne jego obejście dostatecznie wskazywało kapitanowi, że nie jest mile widzianym.

Dawny konkurent Floryny był w rozpacz. W Indyi ułożył sobie bardzo prosty plan postępowania. Przyjechał do Anglii, oświadczyć się o Florynę, a zaślubiwszy ją urządzić sobie najwygodniej resztę życia za pomocą dochodów z Clydesdale. Stosownie do tego uregulował interesa. Sprzedał stopień kapitana i nie żałował sobie ani na wygodne życie w hotelu, ani na prezenta dla Floryny, zawsze bardzo mile przyjmowane. Był pewny że jego majątek wystarczy mu do dnia ślubu, gdy naraz wszystkie jego nadzieje przepadły. Mąż powrócił, a on znalazł się bez grosza, bez stanowiska i bez żadnych źródeł dochodu. Uczuł rodzaj żalu do Floryny i powiedział sobie, że musi mu wynagrodzić w pewnym względzie ten zawód, dostarczając mu pieniędzy na pierwsze potrzeby.

Lady Clyde tymczasem trochę się uspokoiła i projekta czynione przez Ruperta, wydania balu na powitanie wszystkich sąsiadów, do pewnego stopnia ją uszczęśliwiała. Pocięszała się, że jeśli z jednej strony straciła na wolności, z drugiej zyskała na świetnym stanowisku i wyobrażała sobie wspaniałość przyjęć, dawanych w Clydesdale. Jednakże myśl o kapitanie zatruwała jej te piękne marzenia; nie umiała wynaleźć sposobu na dostarczenie mu tyle pieniędzy, ile żądał, a nie śmiała się zwierzyć przed nikim ze swoich ciężkich kłopotów.

Jednego dnia, kiedy ubierała się przed obiadem, służąca wręczyła jej bilecik od kapitana. Przerażona Floryna przeczytała te słowa.

— Muszę cię widzieć dziś wieczór. Będąc rano w zamku nie mogłem znaleźć sposobności pomówienia z tobą, a mąż twój dał mi do zrozumienia, że nie jestem dobrze widzianym w jego domu. Zejdź się ze mną w parku na wrzosowisku. Nie będę cię długo zatrzymywał, ale widzieć cię muszę.

— Co ja pocznę? jęknęła nieszczęśliwa kobieta. Będzie nalegał o pieniądze, a ja nie mam sposobu ich dostać. Przecie Rupertowi wszystkiego wyznać nie mogę.

Trzeba przyznać, że kapitan wbrew swej woli posuwał się do groźby. Czuł sam podłość swego postępowania, ale nie miał dosyć energii, aby stawić czoło losowi i zacząć skromnie pracować na życie. Gdyby nie ciężka potrzeba pieniędzy, byłby wolał pożegnać ją w sposób szlachetny, zostawiając po sobie przyjemne wspomnienie w sercu kobiety, którą jednak kochał kiedyś rzeczywiście.

## ROZDZIAŁ XXXV.

Niespokojność Lady Clyde była godną litosci. Nie śmiała odmówić kapitanowi, który ją miał w swej mocy, a bała się, aby nie zauważano jej nieobecności. Jedną jej tylko pozostawała nadzieja. Sir Rupert, wielki miłośnik kwiatów, oddalał się często po obiedzie z eygarem w ustach do oranżeryi i tam przepędzał czas jakiś pomiędzy ulubionymi roślinami, te chwile samotnych dumań były dla niego potrzebą i przyjemnością, jeśli więc dziś tam się uda, ona będzie mogła wyjść na tę

nieszczęsną schadzke, ale jeśli Rupert pójdzie za paniami do salonu i zacznie opowiadać swe podróże z Donaldem Rancorn; wszystko będzie stracone. Ze strachem więc wyglądała końca obiadu i lżej odetchnęła, kiedy sir Rupert rzekł, wstając od stołu.

— Wybacz mi Floryno, że się schronię na chwilę do mego ulubionego ustronia.

Gdy panie przeszły do salonu, Elenora, jak zwykle siadła do fortepianu, a Lady Leestone wzięła książkę, w której zaczytała się ciekawie. Floryna więc wymknęła się do swego pokoju, a z tamąd, okryta ciemnym płaszczkiem, pospieszyła na wrzosowisko, gdzie ją oczekiwał kapitan. Przybiegła tam bez tchu, który zatamował pośpiech i trwoga.

— Jakże samolubnie i nierozsądnie postępujesz, zmuszając mnie do tego tajemnego widzenia się z tobą — rzekła żywo do kapitana. — Wiesz przecie na co się narażam.

— Moja droga Floryno, czyny zrozpaczonych są rozpaczliwe. Zmuszony byłem zobaczyć się z tobą, bo pieniądze są mi koniecznie potrzebne.

— Nie dostaniesz ich odemnie — odparła z dumą i gniewem, który zabarwił jej lica rumieńcem. Ale była to istota słaba i miękka. O Karolu! — dodała z gwałtownym płaczem — czy ja kiedy mogłam myśleć, że między nami dojdzie do pieniężnych kwestyi. Nie mogę uwierzyć, że jesteś tym samym, który w Lahorze tak się zdawał mnie kochać.

— Jestem tym samym Floryno, ale wiesz, że o miłości nie może już być mowy między nami. Ale powinnaś też zrozumieć, że ponieważ jestem zrujnowany — i zrujnowany z miłości dla ciebie, i cóż pocznę bez grosza i stanowiska?

— A ja nieszczęśliwa! cóż uczynić mogę? Mamże kłamać i oszukiwać męża?

Mąż ten, którego imienia wezwała w tej chwili, też pomyślał o niej i wehodząc do salonu, szukał jej oczyma. Nie było jej tam przecież, a on z ckmurą na czole zapytał: gdzie się podziała.

— Floryna lubi wieczorne powietrze i często wychodzi po obiedzie do ogrodu — odpowiedziała Eleonora. Czegoś się przelekła i zmieszala na widok posępnej twarzy Ruperta, rzekła też spiesźnie, że pójdzie poszukać Floryny.

Rupert nie przyjął ofiary.

— Nie fatyguj się, pójdę do niej... odparł.

Ale jakies przecucie prawdy przeszło przez myśl Eleonory, bo zawołała żywo.

— Nie znajdziesz jej tak prędko Rupercie, ja wiem lepiej, gdzie zwykle lubi siadywać.

Pospieszyła do parku, nie czekając na odpowiedź Ruperta, a spotkany ogrodnik powiedział jej, że mylady poszła w stronę wrzosowiska.

Podejrzenie nie ustąpiło z umysłu Eleonory, a przeciwnie wzrosło, szła prędko przed siebie: słońce już zaszło i tylko słaby odbłask światła na zachodzie przeświecał przed drzewa; najmniejszy wietrzyk nie poruszał liśćmi i wieczorną ciszę przerwał tylko nagle płaczliwy głos kobiety, który doszedł do uszu Eleonory od strony w którą spieszyła.

— Cóż uczynić mogę?... Mamże kłamać i oszukiwać męża? powtarzała nieszczęśliwa Floryna, łkając.

— A... odpowiedział na to głos drugi, mężki, pełen sztydzącej ironii. — Boisz się mylady kłamstwa i oszustwa...

— Boję się! boję się tak, że wolałabym umrzeć tu na miejscu niż odważyć się...

— Tak... a jednak byłaś pani kiedyś odważniejszą.

— Ja... oh Boże! Nigdy nie miałam natury śmiałej...

Byłaś śmiałą Lady Clyde, byłaś niesłychanie śmiałą w owej chwili, gdyś na miejsce twego zmarłego syna wprowadziła do Clydesdale dziec-

ko obce, gdyś je podrzuciła w gniazdo starożytnego rodu twego męża.

— Ach Karolu! co mówisz? To nie ja! nie ja! Klara sama wszystko zrobiła. Uciekłam wtedy do Clydesdale nieszczęśliwa...

On się surowo wyprostował przed nią, siedzącą, a raczej leżącą na kamiennej omszonej ławce i zaśmiał się dziko. — Nie śmiałaś pani działać, ale śmiałaś korzystać z działania innych. Byłaś mężniejsza wtedy, bo zdrada i podstęp dawały ci korzyści, a teraz tylko miłość mogła by cię skłonić do czynu.

— Ach Karolu! Karolu jęczała Floryna, lecz nagle krzyknęła głucho, bo Eleonora stała przed nimi, biała z oburzenia i przestachu.

— Słyszałam wszystko! — zawołała. — Nie mogłam temu zapobiedz. O miłość Boską, Floryno, zaprzecz tym strasznym wyrazom, które doszły mych uszu. Nie mogłaś być tak przewrotną! Powiedz że to nieprawda co ci zarzucili ten... człowiek.

Ale Floryna zwróciła się do kapitana Archer.

— Zgubiłeś mnie! — jęknęła.

— Powiedz że oskarżenie jest fałszywe! — błagała Eleonora. Krew mi się w żyłach ścina, gdy pomyślę o takiej zbrodni. Nie mogłaś tego zrobić, Floryno! Nie jesteś tak ciężko występna!

— To nie ja... nie ja — odparła Floryna. — Dla czego tak patrzysz na mnie, jak gdybym była zaborczynią. Po co tu przyszłaś — szpiegować mnie...

Eleonora nie mogła odpowiedzieć; zdrewniała zupełnie z przerażenia, i myśl jej tylko w jednym kierunku się zwracała.

— Wielki Boże, to nie może być prawdą! — powtarzała. — Odpowiedz mi Floryno, czy to jest prawda, co mówił kapitan Archer... Alfred nie jest że twoim synem?

— Kto to mówi? kto mi tego dowiedzie? — zawołała Floryna; poczęła tracić głowę, stała się w tem obłąkaniu swoim zuchwałą.

— Ale reakcja przyszła w tej samej zaraz chwili. Zalała rękę i z rozpaczą obróciła się do Archera.

— Zgubiłeś mnie, zgubiłeś i jeżeli masz choć trochę serca w piersi, jeżeli kochałeś mnie kiedykolwiek, zabij mnie teraz... o! zabij...

Ale on stał jak martwy. Uczuł co zrobił, jak okrutny los zgotował kobiecie, która nań wołała: Jeżeliś mnie kochał kiedykolwiek...

Ale zarazem zdjęło go dla tej kobiety i obrzydzenie najwyższe: taka słaba, taka licha istota, taka lalka, która jednak dopuściła się zbrodni i wciągnęła go nieszczęśliwie do wspólnictwa w podłym czynie!

— Wiem że jestem nędznikiem — zawołał stłumionym głosem obracając się do Eleonory, której piękna postać rysowała się w pół cieniu jeszcze idealniej szlachetna. — Stoję tu okryty wstydem, pogardą dla samego siebie i upokorzeniem; lecz pozwól mi pani powiedzieć, że gdybym był przed laty spotkał kobietę podobną do ciebie, byłbym się stał lepszym człowiekiem. Serce moje i dusza korzą się przed twoją enotą, przed pięknoscią twojej duszy, jak się nigdy jeszcze nie korzyły przed nikim.

— I mówisz to Karolu, w mojej obecności! — jęknęła Floryna.

On jej wręcz nie odpowiedział.

— Odejdę z myślą, że widziałem anioła na ziemi — rzekł kapitan, zwracając na Eleonorę spojrzenie, w którym wydał śmiało całe swe uwielbienie dla niej.

— Cicho kapitanie Archer, odpowiedziała przecież ona z godnością — pragnę nie słyszeć więcej pańskiego głosu.

— To wstyd! i hańba zawołała Floryna. — Tak mnie zgubić i potem tak jeszcze postępować ze mną... O dla czego mężczyźni są tak przewrotni, a kobiety tak słabe.

Nawet w tej chwili jeszcze uczuła się zazdrosną. Łkała i myślała z goryczą, że Eleonora ma nad nią górę u wszystkich. Zapomniała niemal o położeniu okrutnem, w którym się znajdowała. — Jesteś złym człowiekiem Karolu, jesteś zdrajcą — zawołała.

— Tak — powtórzyła Eleonora z powagą — ta nieszczęśliwa kobieta ma słuszość: jesteś pan zdrajcą. Nie podniosłeś pan słabej i grzesznej kiedyś miał moc i czas po temu, a teraz odwracasz się od niej obojętnie.

— Pani, czyż nie ma nic litości w twojej piersi?

— Nie zasługujesz pan na nią — odparła z zimną pogardą. — Mogłeś pan ocalić kobietę, która cię kochała, mogłeś ją uratować przed złem, przed zbrodnią, lecz wolałeś korzystać z występku...

— Nie miałem w nim najmniejszego udziału. Wszystko się spełniło bez mej wiedzy i w czasie mej nieobecności. Byłem postawiony w położeniu bez wyjścia...

Coś podobnego do łkania wyrwało się z piersi kapitana, a oczy jego zwilżyły się łzami.

— Postawiłeś się pan sam w tem położeniu. Gonileś za majątkiem, chciałeś zdobyć nędznie bogactwo i stanowisko, i doszedłeś do najcięższego upadku: jako współnik występku, z którego chciałeś korzystać.

— A przecież jesteś pan mężczyzną, byłeś oficerem i jeszcze jesteś młody, jeżeli pozostała w panu iskra szlachetności, to taki koniec właśnie jego niskich nadziei zdoła ją rozdmuchać i podnieść pana. Weź się do pracy, szukaj losu na tej drodze, jak każdy ucziwy człowiek. Żegnam pana.

Był to poważny i surowy nakaz, aby się oddalił i nie zakłócał swoją obecnością i tak już wzburzonego życia rodziny, do której się nędznie wcisnął.

Jego obłąk rumieniec. — Pani! zawołał — jutro popłynę do Indji gdzie zaciągnę się do służby jako prosty żołnierz. Będę jadł gruby chleb szeregowca, będę pełnił jego mozolną pracę i może polegnę w tłumie tych biedaków, którym nikt nie kładzie potem kamienia pamiętki...

Zawrócił się gwałtownie w tył, ale naraz przypomniał sobie Florynę. — Bądź zdrowa — rzekł jej smutnym głosem — nie byliśmy tem dla siebie, czem powinna być para ludzi kochających się. Miłość nasza nie podnosiła nas, ale poniżała wzajemnie.

— Bądź zdrowa — dodał łagodniej, usłyszawszy jej płacz głośniejszy — niech Bóg ma cię w opiece swojej.

— I z panem niech Bóg będzie — rzekła Eleonora mimowoli wzruszona, a on oddalał się szybko, uchodząc w mrok nocy.

## ROZDZIAŁ XXXVI.

Floryna patrząc za nim wybuchnęła płaczem i gwałtownością.

— Zgubiłaś mnie szpiegując i podsłuchując — zawołała namiętnie zwracając się do Eleonory.

Eleonora pamięć wróciła na te słowa. Tak była odurzona poprzednią sceną, że zapomniała po co tu przyszła.

— Mylisz się — odrzekła — szukałam cię, bo sir Rupert pytał się o ciebie, gdzie jesteś?

Na wspomnienie męża, Floryna uspokoiła się nagle i tylko poczęła drzeć.

— Nie mogę go widzieć — zawołała. — O Eleonoro! pomóż mi... nie mogę stanąć przed nim.

— I ja również — odparła Eleonora. Pośle mu powiedzieć, żeś jest słaba i że potrzebujesz mnie. Ale przez Boga, przez wszystko co jest świętem na ziemi powiedz mi Floryno, czym nie źle słyszała?

— To nie ja, to Klara zrobiła wszystko! załkała słaba, nędzna istota...

Floryna przelekła się widząc Eleonorę padającą na ławkę. I moc tej szlachetnej duszy pękła. — Nora płakała, jak może nigdy.

— Jaka to okropność. Jaka straszna rzecz! — mówiła wśród płaczu. — Biedne dziecko, wydarła nieszczęśliwie rodzinie, której już może nie odnajdzie! biedny Rupert...

— Jak on to zniesie, jak to przetrzyma i co, oh! co zrobi?

— Nie zdradzaj mnie — wykrzyknęła Floryna — a wszystko będzie dobrze. Byłabyś najokrutniejszą z kobiet, odkrywając mu tajemnicę. To Klara wszystko zrobiła, to nie ja...

— Co cię do tego skłoniło, Floryno? — Czy obawa utracenia Clydesdale?

— Nie mogłam mieć innych powodów. Ale po co chcesz rachować moje grzechy! Oh! ty nie jesteś kobietą, ty jesteś martwą istotą bez krwi w żyłach, ty...

— Ty jesteś moją nieprzyjaciółką! — dokończyła w spazmatycznym wybuchu.

— Nie, zawsze starałam się okazywać ci życzliwość i teraz pragnę tylko ci dopomóc. Powiedz mi wszystko Floryno, a dopomogę ci aby ten błąd naprawić.

— Nie będę śmiała tutaj mówić — odparła Floryna — ktoś może podsłuchać, Rupert może się zniescierpliwic i przyjść...

Oh! ja nieszczęśliwa.

— Chodźmy między drzewa gdzie jest cień — zawołała następnie sama, prędzej będę mieć odwagę. W ciemności może będę mogła powiedzieć ci.

Opuściły wrzoswisko i poszły w inną stronę parku, gdzie cienie nocy rozpostarły się już zupełnie. Floryna rzuciła się na trawę i ukryła twarz na kolanach Eleonory, dla której była to najstraszniejsza godzina jaką w życiu przeżyła.

— To nie moja wina — powtarzała Floryna z płaczem. Nie myślałam nigdy o podstępie, nie zastanawiałam się nawet nigdy nad tem, jakie to jest oszustwo, cośmy zrobili! O Noro! Noro! co ja teraz pocznę? Bądź dobrą dla mnie Noro, bądź litościwą.

— Chcę nią być, Floryno; chcę abys mi prawdę wyznała, a będę starała się dopomóc ci.

— Nie wiem jak ci to powiedzieć — Oto, Klara potrzebowała pieniędzy. Mąż jej powiedział że są zrujnowani, jeżeli ich nie dostanie odemnie. Przytem ja, nieszczęsna kobieta! pragnęłam być panią Clydesdale.

(Dokończenie nastąpi)